

KOŁAKOWSKI Z KOMAREM, KRAUZE Z KAFKĄ, TYSON Z LEWISEM

PRZE

Numer 23/2972 9 czerwca 2002 r.

KRÓT

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

CYRKI WOKÓŁ PIŁKI

ISSN 0033-2488

23



9 770033 248021

Indeks 371424 • Y-9013-C

JUŻ W KIOSKACH!

MUNDIAL 2002 - EKSTRAODDATEK - WSZYSTKIE STRONY PIŁKI

VIVA!

nr 11 (139) 3 czerwca 2002 Cena 4,90 zł
Numer indeksu 321672

Tylko w **VIVIE!**
pierwsze zdjęcia
z drugiej części
**„WŁADCY
PIERŚCIENI”**

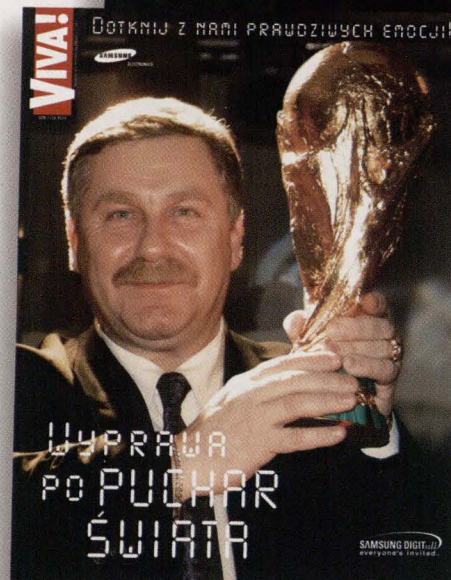
**RICHARD
GERE**
Poskromienie
złotnika

**MINISTER
ANDRZEJ
CELIŃSKI**
Zdrada?
Nie miałem
sily się oprzeć

Śpiewam
żyję
choć nie ma już ojca

Justyna STECZKOWSKA

mówi przez tży



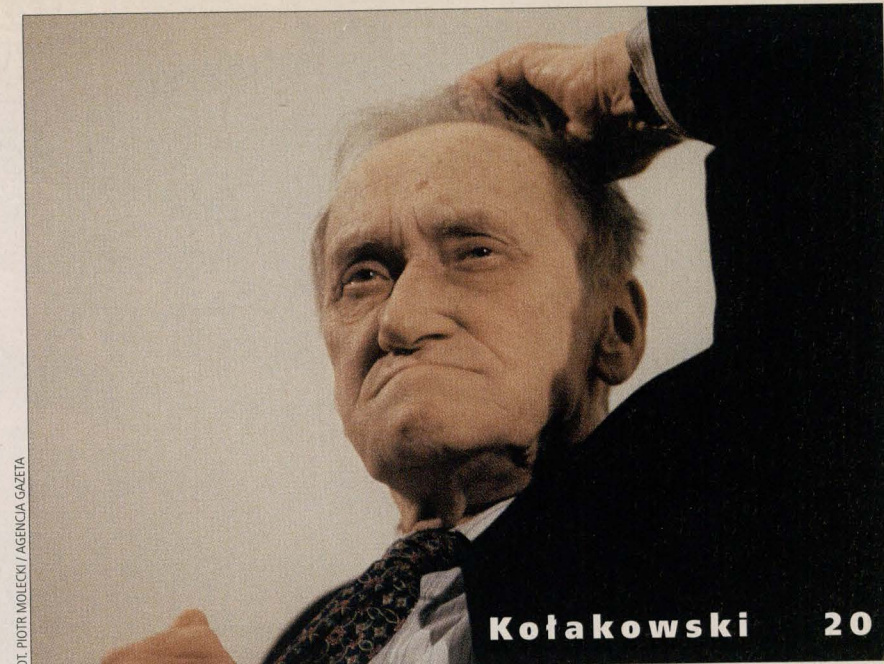
EKSTRAODDATEK
SEKRETY Z ŻYCIA PIŁKARSKIEJ
REPREZENTACJI

NUMER 23/2972 • 9.06.2002

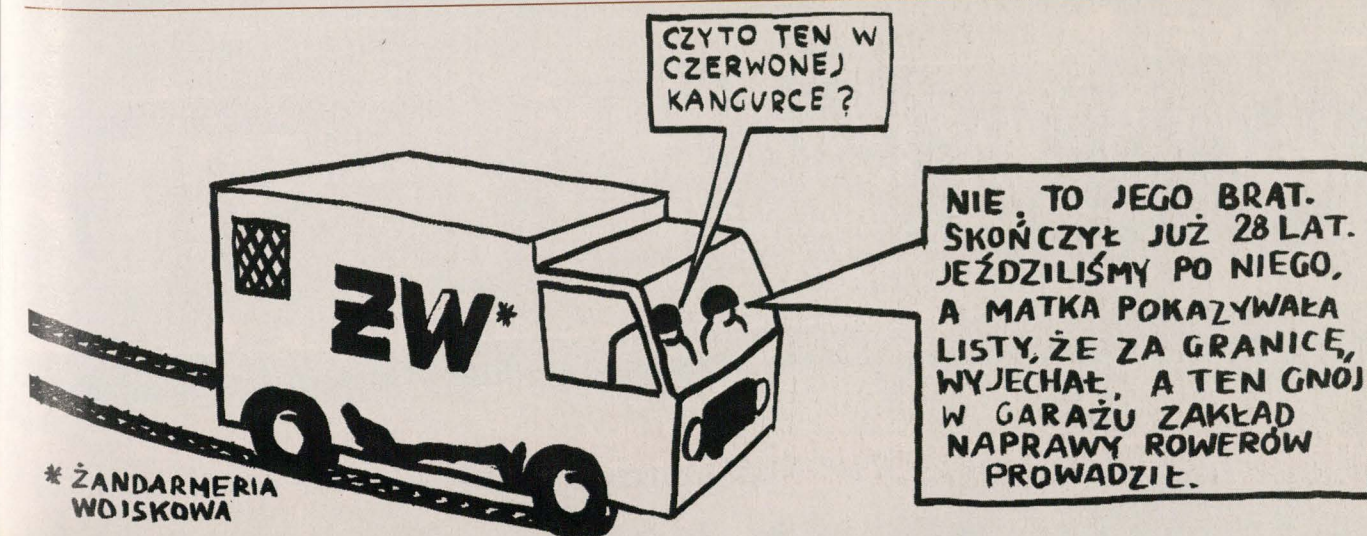


- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
- 9 Z tygodnia na tydzień
- 10 Kopia, tańcza, płaczą – fotoreportaż
- 15 Okienko z wierszem Jarosława Marka Rymkiewicza
- 16 Cyfrowy cud – Małgorzata Fiejdasz
- 20 Życie nam nie służy – z Leszkiem Kołakowskim rozmawia Michał Komar
- 26 Zielone atakują – Konrad T. Lewandowski
- 30 Bestia kontra meloman – Michał Wójcik o walce Tysona i Lewisa
- 32 Pięść w historii – Jan Skotnicki
- 35 Mordillo i Polska Angola – Christiaan van Lierop
- 36 Rysuję, bo nie wiem, co z ręką zrobić – galeria rysunków Andrzeja Krauzego
- 42 List z Izraela
- 43 Zyskowna dysleksja – Olga Woźniak
- 46 Uwaga! Nadlatuje fotograf – zdjęcia Yanna Arthusa-Bertranda
- 50 Cenne Cannes – Rafał B. Niemojewski
- 53 Czerwone na czerwonym – Jarosława Krawczyka prywatna historia malarstwa
- 54 Paradoksy „Disco chaos” – Paweł Dunin-Wąsowicz
- 56 Film – W Sewilli jak w Kutnie – Piotr Wojciechowski, Tydzień w kinie – Bartosz Żurawiecki
- 58 Książki – Janusz Anderman „Fotografie”, Antykwarjat „Mentzel i S-ka”
- 60 Literatura – Nagroda Pulitzera – Richard Russo „Druhna swojej matki”
- 64 Kici Kici, Stefania Grodzieńska odpowiada, Obraz wyrażen, Piątka klepka, Pan Stanisław z Łodzi Marka Raczkowskiego
- 66 KULINARNE PIÓRO POLSKI
- 67 Hoff – Wilki Dwa
- 68 Wyteż wzrok, Felietony Jerzego Bralczyka i Małgorzaty Baranowskiej
- 70 Z wiekiem mądrzej – Janusz Gajos w rozmowie z Marią Czubaszek
- 71 Listy
- 72 Krzyżówka, jolka
- 74 CO PAN NA TO, PANIE LEM?
- 76 Rozmaitości

FOT. PIOTR MOLECKI / AGENCJA GAZETA



FOT. REUTERS / FORUM



WILHELM SASNAL



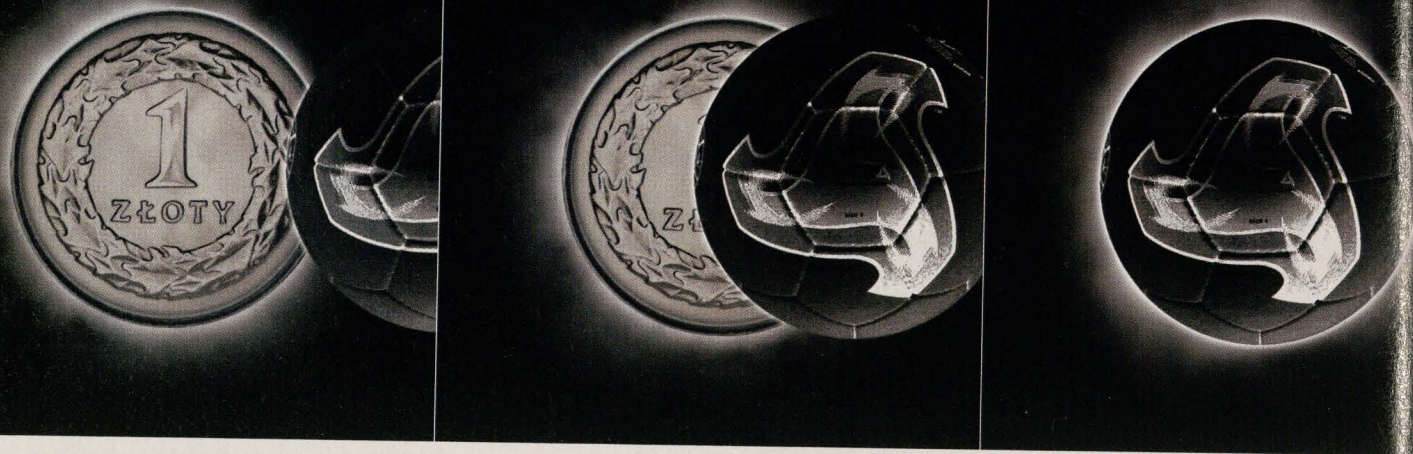
Blizna Ameryki

Po World Trade Center został już tylko głęboki wykop. W niespełna osiem miesięcy od zamaru na WTC zakończono likwidację gruzowiska w sercu Manhattanu. Podczas czwartkowej ceremonii na cześć ofiar i ratowników z terenu World Trade Center wyniesiono ostatni stalowy dźwigar budynku, pod którego gruzami zginęły 2823 osoby.



Szkielety ośmiu galijskich wojowników i ich koni złożone w jednym grobie odkryli francuscy archeolodzy w miejscowości Le Cendre pod Clermont-Ferrand. Każdy z jeźdźców patrzy na wschód i trzyma lewą rękę na ramieniu kolegi. Archeolodzy „rozpoznali” w nich Gallów na podstawie małych koni – odkryte szkielety mierzą w kłębie zaledwie 120 centymetrów. Niski wzrost jest typowy dla wierzchowców używanych przez Gallów. To pierwszy znany grobowiec galijski, w którym ludzi pochowano razem z końmi.



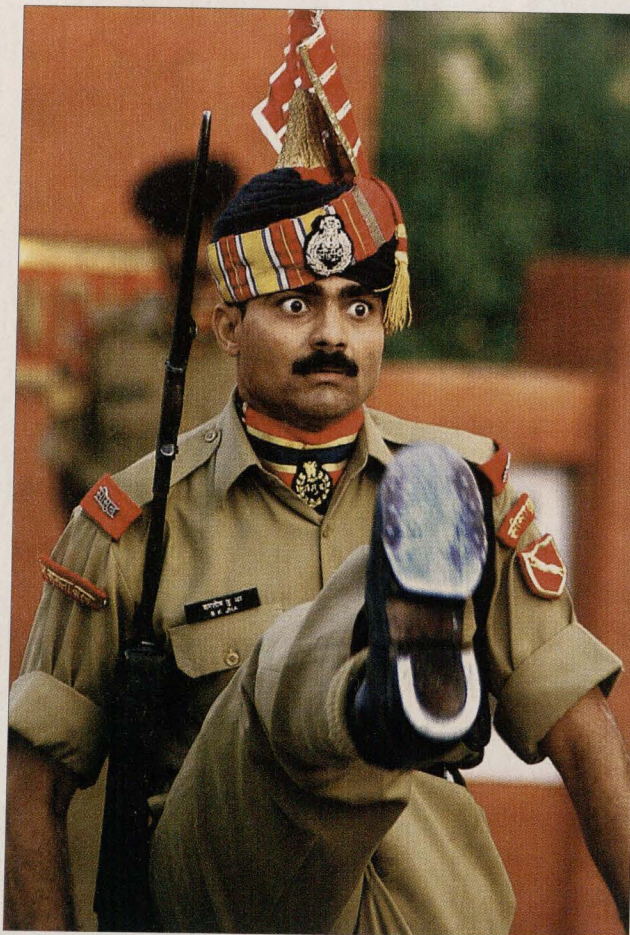


Czy nastąpi całkowite zaćmienie złotówki?

W związku z trudną sytuacją gospodarczą premier poprosił prezydenta Kwaśniewskiego o zwołanie Rady Gabinetowej. Na posiedzenie Rady Leszek Miller będzie musiał jednak poczekać co najmniej

do 10 czerwca, bo prezydent jest chwilowo zajęty mundialem. W niedzielę wyjechał z „wizytą roboczą” do Seulu, aby na własne oczy obejrzeć mecz Polska – Korea.

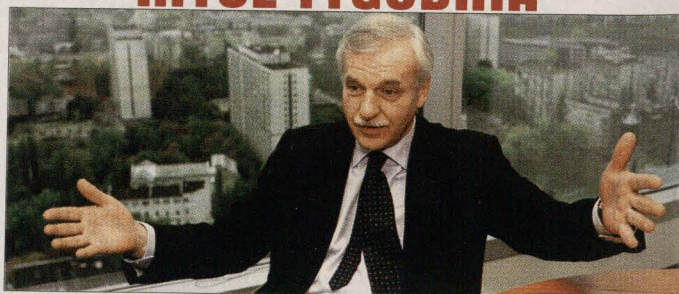
Indie i Pakistan szykują się do kolejnej wojny o sporny region Kaszmiru. W piątek Wielka Brytania i USA zarządziły ewakuację swoich obywateli przebywających w Indiach. Po obu stronach granicy stoi już milion żołnierzy. Prezydent Pakistanu gen. Pervez Musharraf zapewnia, że jego kraj użyje jedynie broni konwencjonalnej.



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

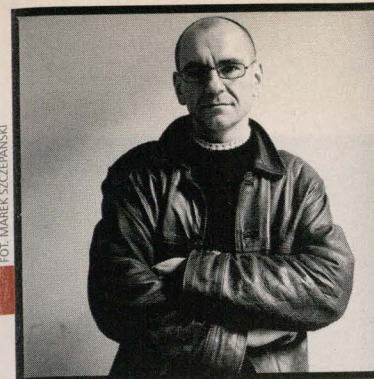
- ...o kongresie zjednoczeniowym PiS i PP oraz o tym, co te skróty oznaczają. I jaki skrót z tego powstanie.
- ...o innych niż obejrzenie meczu Polska – Korea celach wizyty prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w Korei.
- ...o wyznaniu wiary w Stocznę Szczecińską, jakie złożył premier podczas wizyty tamże.
- ...o mistrzostwach świata w pieczeniu babek i kiszek ziemniaczanych w Supraślu koło Białegostoku.
- ...o tym, że jeszcze w czerwcu liczba telefonów komórkowych przewyższy liczbę stacjonarnych. W Polsce.
- ...o strajku gondolierów w Wenecji, o zachęcającej turystycznie możliwości płacenia euro w ekskluzywnych restauracjach, hotelach i sklepach na kubańskim półwyspie Varadero, o wynikach szwajcarskiego referendum w sprawie liberalizacji przepisów dopuszczających aborcję.
- ...o tym, że w przyszłym roku tradycyjne krzeselka w opolskim amfiteatrze zostaną zastąpione plastikowymi.
- ...o poszukiwaniach zabytkowej spluwaczki przez Muzeum Okręgowe w Tamowie.
- ...o panicznym wykupie płynu Lugola w Wielkopolsce i innych rejonach kraju. I o niesłuszności tego wykupu.

MYŚL TYGODNIA



Dziura budżetowa ma dwa brzegi.
Z jednego sypiemy, z drugiego kopiemy.

Andrzej Olechowski, lider Platformy Obywatelskiej



MUNDIAL, CZYLI MIESIĄC NIEPRZERYWANEGO SEKSU

DARIUSZ ROSIAK

Dla nas, zbrojeńców futbolowych, mundial to piłkarska orgia – grupowa pralnia zmysłów, z której po miesiącu wyjdziemy wymięci jak ścierki, ale czyści i spełnieni. Każdy znajdzie tu coś dla siebie, bo mundial to eksplozja najbardziej karkołomnych stylów i najrzadszych upodobań.

Hiszpanie to barokowy przepych i szczodrość, ale gubi ich zamięłowanie do gry wstępnej: wygibasy, muśnięcia, łaskotki, które – dajmy na to – u Brazylijczyków przeradzają się stopniowo w pełen akt miłości, u Hiszpanów skazane są na ciągłe niespełnienie – dochodzą zwykłe co najwyżej do ćwierćfinałów. Brazylijczycy będą pieścić swoje ofiary i płaść dla nich, by na koniec eksplodować triumfalnie i kilkakrotnie. Dla nich zwycięstwo musi być owocem rozkoszy, inaczej się nie liczy.

Niemcy to sadyści. Uprawiają futbol apodyktyczny, twardy, nieznoszący sprzeciwu, futbol, w którym odpowiedzią na skomlenie powalonego przeciwnika jest celny cios dobijający. Niemcy grają w piłkę, jakby produkowali volkswageny. Liczy się szybka realizacja planu, może być bez przyjemności. Nikt nie lubi się z nimi bawić, ale za to wszyscy ich cenią.

Włosi są najwspanialszy na świecie. Nawet jeśli nie zawsze wygrywają, dają ludziom radość, bo lubią długi dystans. Rozgrzewają się z każdym meczem turnieju, narażając się często na zadrapania, siniaki albo przedwczesne szczytowanie formy, ale prawdziwa sztuka warta jest tej ceny. Domorośli amatorzy piłkarskiej pornografii krytykują ich za *catenaccio* i inne – ponoć anachroniczne – pozycje boiskowe. Wolą Anglię, ale Anglicy to tirówki współczesnej piłki nożnej. Dla nich liczy się wyłącznie szybkość, wytrzymałość i maksymalna liczba powtórzeń nudnych ruchów po skrzydle. Zero finezji. Może to ich pogoda sprawia, że grają zwykle w jakimś frenetycznym tempie, jakby chcieli zdążyć przed deszczem. A na koniec i tak schodzą z boiska zmoczeni.

Francuzi – *Les Français, Les Bleus* – mistrzowie formy. Siła bez brutalności, precyzja bez rutyny, elegancja bez kokieterii, wyobrażenia bez granic. W przeciwieństwie do francuskich kochanków piłkarze dorównują swojej reputacji.

Argentyńczycy – prawdziwi rewolucjoniści futbolu – grają najlepiej, gdy poturbuje ich historia. W 1978 gnębiła ich junta, w 1986 grali za wolność Falklandów. Teraz zawalczą przeciw bankom i siłom globalizacji, które powaliły naród na kolana. Czasem w swej zapalczywości bywają brutalni, czasem są podstępni, ale nigdy nie zapominają, że w futbolu chodzi o sprawianie ludziom przyjemności. A że spełnieniu czasem towarzyszy ból... No cóż, jak wie każdy rewolucjonista, nie idzie usmażyć omlotu bez tłuczenia jajek.

Są jeszcze Afrykańczycy, których nie ogranicza piłkarska ortodoksja. Dla nich – jak dla pryszczatego nastolatka odkrywającego pierwsze uniesienia zmysłów – liczy się swoboda ekspresji. Są Azjaci, którzy grają w piłkę, jakby

byli plemnikami w pogoni za jajeczkiem – wcześniej czy później któryś dopadnie swego.

I jesteśmy my, Polacy. W okresie przygotowawczym stosowaliśmy futbol oralny, czyli wszyscy mieli bardzo dużo do powiedzenia, tylko grać się nikomu nie chciało. Kim będziemy tego lata? Masochistami-mesjanistami? W cierpieniu, którego powodem jest cały świat, tylko nie my sami, mamy tytuł mistrza. Czy może jednak – tak jak przed ćwierćwieczem – odnajdziemy w sobie klasę, wyobraźnię i fantazję? Może uda nam się odjazd z siemiennej codzienności w sferę piłkarskiej nirwany? Może zstąpimy na koreańskie stadiony jak *deus ex machina*? Niechby ten *deus* i na sznurkach do snopowiązałki, byleby był.





KOPIA



FOT. KUBA ATYS / AGENCIA GAZETA (2)

Rozpoczęły się XVII Piłkarskie Mistrzostwa Świata w Korei Południowej i Japonii. Po raz pierwszy zorganizowane w Azji i po raz pierwszy wspólnie przez dwa kraje.

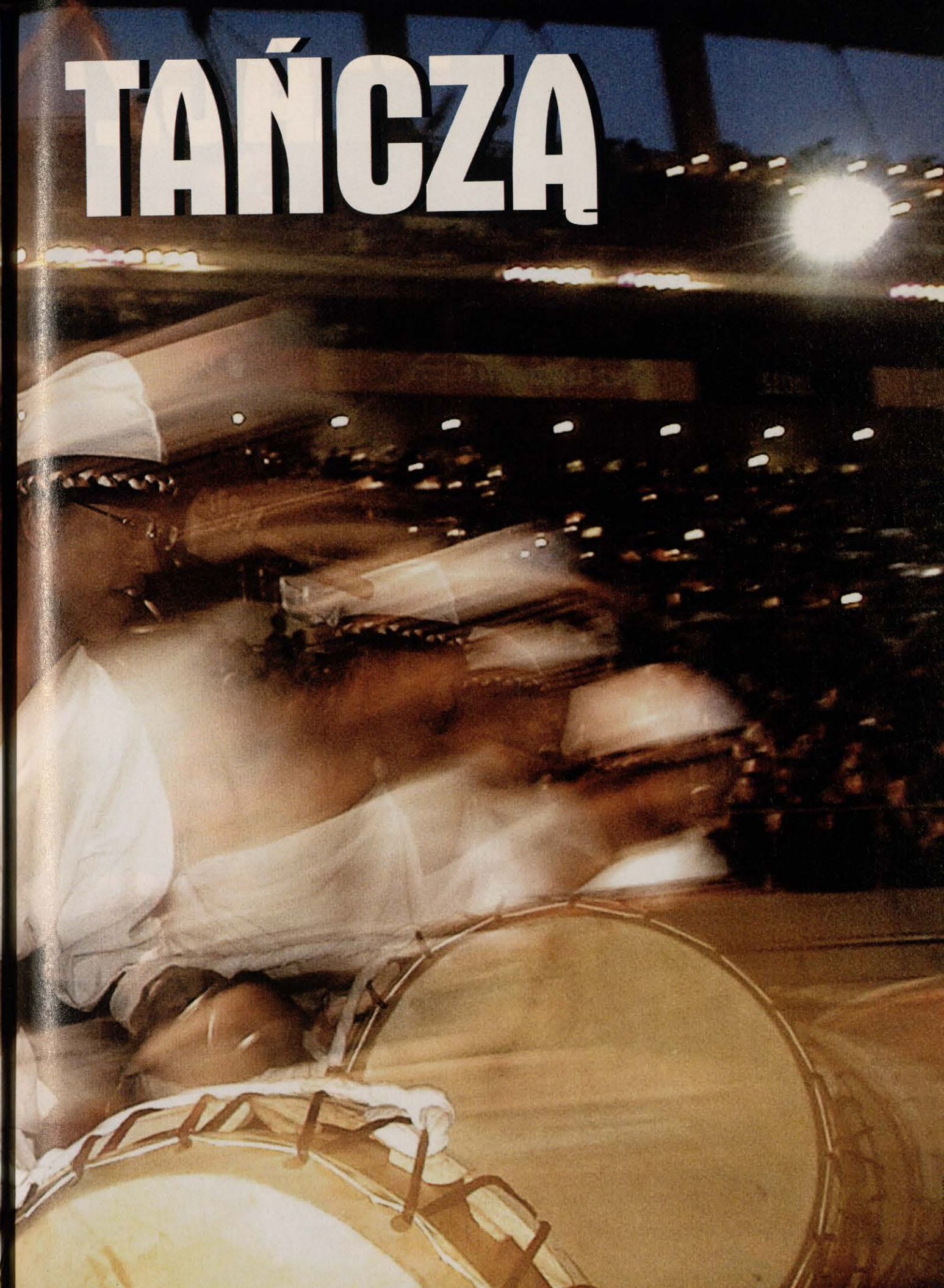
Pół miliarda ludzi na całym świecie obejrzało bezpośrednią relację z uroczystości otwarcia mistrzostw. Na boisku w Seulu (największym stadionie piłkarskim w Azji) tancerze tańczyli, muzycy grali i śpiewali, artyści wideo pokazywali najnowsze cuda azjatyckiej techniki, a dzieci witały uczestników w językach finalistów. Próby przed piątkowym otwarciem trwały trzy lata, więc nic dziwnego, że nikomu nic się nie pomyliło.

Przez cały czerwiec 32 najlepsze reprezentacje będą walczyć o największe trofeum piłkarskie, a mniej więcej trzy miliardy ludzi na całym globie będą się temu przyglądać.

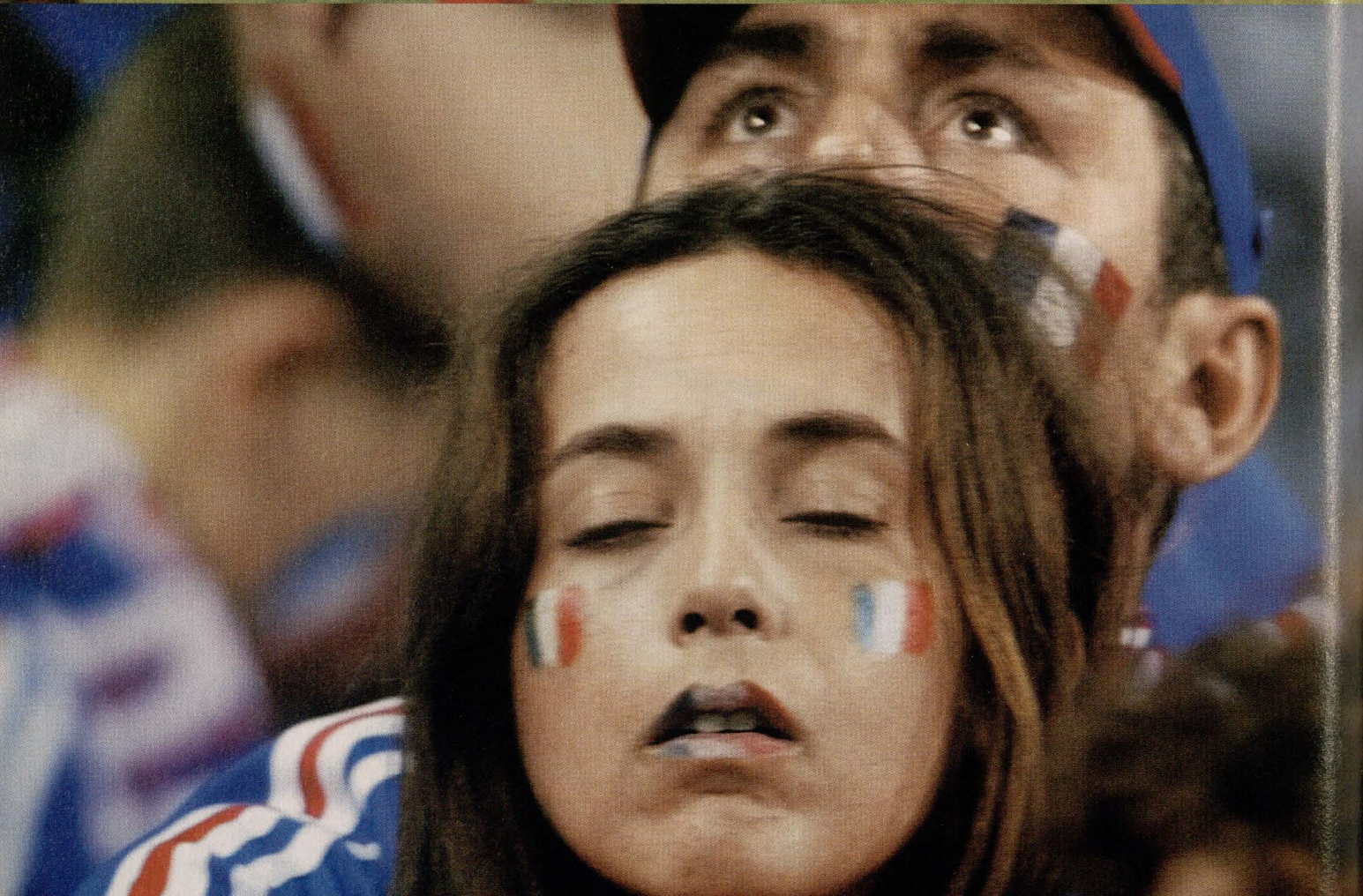
W pierwszym meczu zawodów broniąca tytułu mistrza świata reprezentacja Francji przegrała z Senegalem 0:1. Trener reprezentacji Senegalu skarżył się przed mistrzostwami, że nikt nie traktuje jego drużyny poważnie: „Nikt nie chce z nami grać nawet meczów towarzyskich” – mówił Bruno Metsu. Teraz będą chcieli.

(DR)

TAŃCZA



PŁACZA



JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Skośny deszcz w połowie czerwca

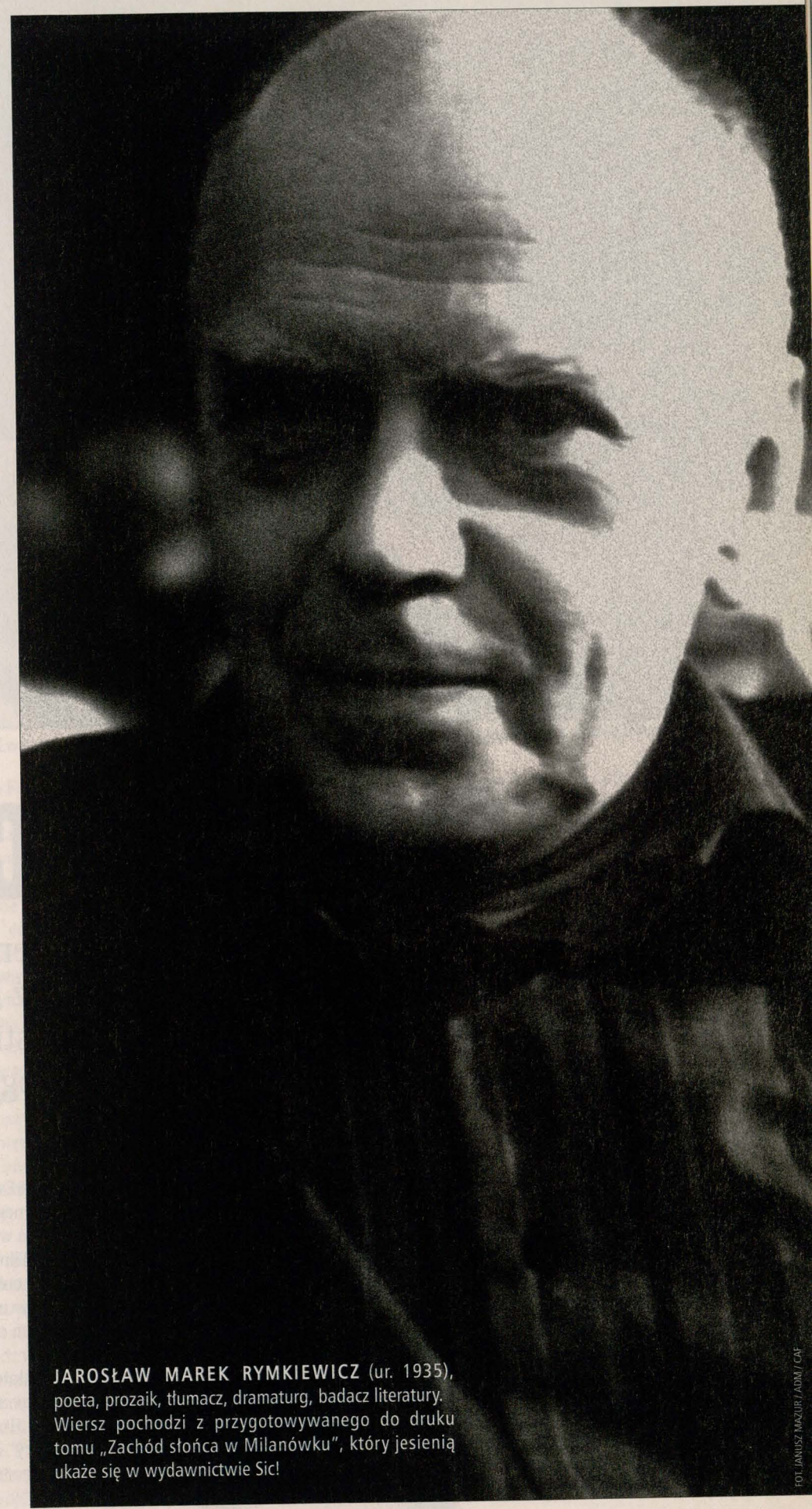
Od rana deszcz pada skośnie
Na białe kwiatki (to jaśminy)
Na bluszcz co tam przy płocie rośnie
Na te kosmiczne wydzieliny

Na kocie uszy i ogony
Mokre są nawet wąsy kocie
Mokną niecierpki mojej żony
Nawet zamokły dziury w płocie

Kosmiczna piana z rynny ciecze
Jak wybuch kosmicznego gniewu
Mokną kwitnące żółto mlecze
I to nastroja mnie do śpiewu

Je widzę w płocie wielką dziurę
O tam w istnienia samym środku
Coś przez nią wchodzi – szarobure
Podejdź tu do mnie miły kotku

17 czerwca 2001 roku



JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ (ur. 1935), poeta, prozaik, tłumacz, dramaturg, badacz literatury. Wiersz pochodzi z przygotowywanego do druku tomu „Zachód słońca w Milanówku”, który jesienią ukaże się w wydawnictwie Sic!



U góry i poniżej: kadry z filmu Dariusza Gajewskiego „Śniadanie do łóżka”

Cyfrowy cud

Każdy może dziś zostać autorem filmu.

Kamera cyfrowa i komputerowy montaż zniósł monopol dużych producentów. Już zdobywają festiwalowe nagrody.

Czy zbawią polską kinematografię?

MAŁGORZATA FIEJDASZ

Cały dorobek filmowy Michała Rogalskiego (rocznik 1970) mieści się w laptopie, na którym Michał montuje również swoje filmy: – Mogę montować, gdzie chcę – w domu, w knajpie, na wakacjach – mówi, rozkładając swoje „studio” na kawiarzynie stoliku. Wyjmuje z plecaka kamerę wielkości dyktafonu. – Bez cyfrowki nigdy nie nakręciłbym swojego filmu – mówi Michał, który właśnie kończy reżyserię w łódzkiej szkole filmowej.



„Film życia. Paweł i Ewa” Rogalskiego zdobył Srebrnego Lajkonika na zakończonym w ubiegłym tygodniu Festiwalu Filmów Dokumentalnych i Krótkometrażowych w Krakowie. Jury uznało go za najciekawszy film o tematyce społecznej.

Trzy lata temu Złotego Lajkonika zdobyły tam *ex aequo* dwa filmy dokumentalne Pawła Łozińskiego „Siostry” i „Taka historia” – także nakręcone kamerą cyfrową.

Nowe narzędzie zdemokratyzowało kino. Nie tylko dlatego, że korzystają z niego zarówno filmowi zawodowcy, jak i amatorzy. W przeciwieństwie do tradycyjnej techniki wideo (takiej jak VHS) kamera cyfrowa (DV – *Digital Video*) daje obraz o jakości emisyjnej i zrobiony taką metodą film może być pokazany w telewizji.

– Został przerwany monopol dużych producentów. Nie trzeba już starać się u nich o fundusze – mówi Tadeusz Król, szef

dokumentu w 2 TVP. – To jest furtka dla młodych. Być może dzięki kamerze cyfrowej powstanie więcej filmów fabularnych i nie będzie robiła ich tylko grupa 30 reżyserów, którzy wymieniają się dostępem do pieniędzy.

Czy filmy robione cyfrową kamerą za minimalne pieniądze to istotnie sposób na przełamanie kryzysu finansowego w polskiej kinematografii?

Cdn.

Michał Rogalski jest w trochę lepszej sytuacji niż starsi o parę lat reżyserzy. „Film życia. Paweł i Ewa” to jego absoltorium, powstało w czasie studiów. Przez dwa lata jeździł do wsi pod Łodzią, gdzie rejestrował życie swoich bohaterów i ich zmagania z biedą, wiecznie rozwalonym samochodem, pracą na roli, dwójką synów i wreszcie ze sobą. – Ujęła mnie ich dziecięca szczerość i to, że mając 300 złotych miesięcznie, tak dzielnie znoszą swój los – mówi.

– Nie było wcześniej takiego filmu. To krok dalej w materię ży-

cia – uważa Kazimierz Karabasz, profesor łódzkiej szkoły filmowej i dokumentalista. – Autor wykorzystał cudowne narzędzie, jakim jest kamera cyfrowa, w sposób maksymalnie szlachetny. Wszedł w miarę codzienności ludzi i z odprysków rzeczywistości zbudował opowieść, która mówi coś o życiu w tym kraju, mentalności, stanie ducha w sposób głębszy, niż myśmy mogli powiedzieć, mając 20-kilogramową kamerę i pięć osób w ekipie.

Scenariusz pisał życie, Michał był operatorem, montażystą i reżyserem filmu. – Czułem się jak Charles Lindbergh, kiedy przelatywał samotnie nad Atlantykiem (*śmiech*).

W inny sposób nie dałoby się uzyskać takiego stopnia intymności. Bohaterowie w ogóle nie zwracali uwagi na kamerę. I mimo swojej nędzy, a nawet języka, z którego można by ułożyć słownik przekleństw polskich, zostali pokazani tak, że budzą sympatię, nie odrazę. Paweł i Ewa widzieli film, byli nim zachwyceni. Przyjechali na projekcję do szkoły, sie-

dzieli w pierwszym rzędzie i co jakiś czas komentowali na głos akcję, nie przejmując się obecnością innych. Na końcu „Filmu życia...” pojawia się napis: „Cdn.”.

Stracone pokolenie

Dariusz Gajewski, rocznik 1964, należy do pokolenia, o którym Tadeusz Król – jego rówieśnik – mówi, że jest stracone dla polskiej kinematografii. – Moje pokolenie nie istnieje. Dlaczego? Nie zostało dopuszczone do głosu przez starszych reżyserów.

Film, który zrobił Gajewski, miał bardzo skromny – by nie powiedzieć: żaden – budżet. Zaprzyjżniona Filmotwórnica dała kamerę, sprzęt i biuro na rozkręcenie produkcji, Paweł Althamer wyczarował z kapelusza scenografię. Kierowniczka produkcji dwoiła się i troiła, żeby do jedynej dużej sceny ściągnąć 50 osób. Wszyscy wiedzieli, że biorą udział w przedsięwzięciu *non profit*.

Na początku było przedstawienie teatralne, które Gajewski wyreżyserował na małej scenie war-

szawskiego Teatru Dramatycznego. „Skórzana maska” według niemieckiego dramaturga Helmuta Kraussera się podobała. „Mamy do czynienia z porządnym, choć krótkim, spektaklem, do którego napisano oryginalną muzykę, zaprojektowano dobre, teatralne dekoracje i który zagrano w sposób pozwalający się domyślać, że aktorzy na próbach zajmowali się czymś więcej niż piciem herbaty” – pisał Roman Pawłowski w „Gazecie Wyborczej”.

Kiedy sztuka schodziła już z afisza, a Filmotwórnica zaproponowała, by zrobili coś razem, Gajewski postanowił utrwalić przedstawienie w formie filmowej, głównie ze względu na rolę głównego bohatera granego przez Sławomira Grzymkowskiego.

– To bohater naszych czasów, egotyk, który nie traktuje serio rzeczywistości i za brak szacunku ta rzeczywistość wymierza mu karę – mówi reżyser.

Kameralny film (dwa plenery, trzy wnętrza, sześć postaci) nosi tytuł „Śniadanie do łóżka” i jest prawie gotowy.



Scena z filmu Michała Rogalskiego „Film życia. Paweł i Ewa”



„Film życia. Paweł i Ewa”

– Jestem teraz na etapie zbierania jego sojuszników. Dla mnie była to próba, chciałem sprawdzić, czy w ogóle da się w ten sposób robić filmy. Jeśli okaże się, że uda mi się sprzedać „Śniadanie...” i będę mógł zapłacić ekipie, to zabiorę się za następne rzeczy – mówi Gajewski. Plusy takiej produkcji? – Mogliśmy improwizować do woli, czego nie robi się przy taśmie, która stanowi poważną część budżetu. Żaden bank ani producent nie wtrącał się w obsadę i sposób realizacji. W tym sensie DV było uwolnieniem.

Sposób na życie

Pokój w mieszkaniu Arka Gołębińskiego, operatora (rocznik 1968), pełen jest nierozpakowanych worków z ubraniami. Parę dni temu Arek wrócił z Limy, ale zaraz wyjeżdża do Kosowa. Jest zrośnięty ze swoją kamerą cyfrową, którą dokumentuje kilka projektów naraz. Kolegów z Ligi Republikańskiej. Fenomenalnie inteligentną Basię z zespołem Downa. Peruwiańskie slumsy.

– Wolę zrobić zdjęcie batonika na billboard i zainwestować pieniądze w swój projekt, niż chodzić po korytarzach telewizji, pukać od drzwi do drzwi i przekomarzać się z sekretarkami, czy przystawią pieczątkę, czy nie – mówi.

Właśnie załatwia ostatnie sprawy przed wyjazdem do Albanii. Zamierza – wraz z drugim operatorem – sfilmować mecz koszykówki pomiędzy zwaśnionymi Albańczykami i Serbami z pobliskiej enklawy.

– Proponowałem ten film wielu osobom. Mówili: „Zawodnicy wysiadający z czołgów? Super, rób to”. Ale nikt nie zdecydował się wyłożyć pieniędzy. Zbliża się termin ostatniego meczu. Musiałem podjąć decyzję, czy pożyczam pieniądze i jadę do Kosowa, czy rezygnuję, skoro nikt nie daje na to kasy.

Arek ma temperament kronikarza i zdaje sobie sprawę, że przydałby mu się producent, który pomógłby ujarzmić materiał przywożony z kolejnych wypraw. W Peru nakręcił 16 kaset, do Kosowa bierze 25.

Kamera cyfrowa jest dla niego nie tylko narzędziem pracy, lecz także sposobem na życie.

– Dotykam rzeczywistości tak, jak ja tego chcę, a nie jak chce tego reżyser. Poznaję siebie. Czerpię energię z ludzi, których spotykam. Tyle cierpienia, emocji, charakterów, ile widziałem w Limie... To zaplusuje w mojej pracy w przyszłości, kiedy przyjdzie życiowy projekt – uważa Arek. Mimo ryzyka, jakie jest wkalkulowane w taką postawę, wierzy, że ma ona sens. – Znam operatorów, którzy od roku nie mieli w rękę kamery. Nie chcę gorzknąć od chałtur i rzucać się na projekty, które mnie nie kręcą.

Tuż po wyjeździe do Kosowa Arek wysłał SMS-a: „Wczoraj KFOR zrobił popis i aresztował nas w kajdankach. Po kilku godzinach nas puścili. Ciagle walczymy o kasety”.

DV śmiechu warte

Zdaniem Tadeusza Króla filmowcy nie mają dziś w Polsce wyjścia: – Albo podejmą ryzy-

ko, pokażą swój talent i zrobią off-owy film na DV, albo będą czekać, aż pan X da im pieniądze, ale wtedy mogą się nie doczekać.

Zdaje sobie jednak sprawę, że to metoda przeznaczona głównie dla młodych ludzi. Najlepiej takich, którzy „nie muszą jeść obiadów”. – Mam poczucie, że gdyby polskie realia przypominały francuskie, to dobra off-owa rzecz byłaby dostrzeżona.

Na razie DV istnieje w telewizji publicznej głównie jako materiał w programie „Śmiechu warte”. „Taka historia” Łozińskiego, którą można było obejrzeć w TVP po tym, jak ją nagrodzono w Krakowie, to wyjątek.

Gajewski: – Lars von Trier używał kamery cyfrowej po to, żeby wyzwolić się z ciśnienia produkcyjnego, ale i tak jego filmy powstawały w bardziej luksusowych warunkach. Na planie „Śniadania do łóżka”, mimo że był to skromny film, pracowało 25 osób. Można zrobić tak jeden film, może dwa, ogromnym kosztem prywatnym. Ale nie więcej. To mnie kosztowało osiem miesięcy życia.



„Film życia. Paweł i Ewa”

W tym czasie wyłączyli mi telefon, prąd i gaz, wyrzucili mnie z dwóch mieszkań itd. Byłem zdany tylko na siebie.

Z całej ekipy tylko on „wziął udział”. Aktorzy i ekipa techniczna pracowali w przerwach swoich normalnych zajęć. Dlatego Gajewski podkreśla, że w ten sposób nie da się robić profesjonalnego filmu. – Kinematografia jest przemysłem. Jeśli ktoś myśli, że w ten sposób załatwi w Polsce dziedzinę filmu artystycznego, to się myli. To będą filmy amatorskie. Nie mam pojęcia, dlaczego w Polsce nie można poważnie myśleć o robieniu filmów – rozkłada ręce.

Może dlatego cyfrowe, profesjonalnie zrobione filmy nie płyną jeszcze strumieniem, ale cienkim strumykiem. Reżyserzy tęsknią do taśmy filmowej i nie chcą pogodzić się z tym, żeby przysługiwała tylko nielicznym wybrańcom. Niektórzy postrzegają robienie filmów na innym nośniku jako dyshonor. Ostatnim filmem dokumentalnym robionym w Polsce na taśmie 35-milimetrowej był film Pawła Kędzierskiego „Cisza

ciemność” nagradzany na wielu międzynarodowych festiwalach. Było to trzy lata temu.

– Kamera cyfrowa to narzędzie przede wszystkim dla dokumentalistów – przekonuje Kędzierski. – To sposób na łatwiejsze dotarcie do człowieka, jego prawdy. Można robić notatki, dokumentować przez długi czas losy bohatera. To przełom w filmie dokumentalnym.

Jego zdaniem nie ma już odwrotu od takiego sposobu robienia filmów, także fabularnych, bo to znacznie odchudza budżet filmu. Odpadają koszty taśmy i laboratorium, w którym jest wywoływana. Na cyfrze powstaje teraz debiut Piotra Trzaskalskiego „Edi”, do którego zdjęcia robi znakomity

operator Krzysztof Ptak. Potem film będzie przekopowany na taśmę 35-milimetrową.

– Taśma filmowa, chociaż jest najdoskonalszym, najtrwalszym zapisem obrazu o trwałości sprawdzonej przez sto lat, będzie świętem dla reżysera – uważa Kędzierski.

– Wystarczy wyobrazić sobie filmy Tarkowskiego zrobione na DV – to śmieszne! – mówi Michał Rogalski. – Cyfra jest dobra wtedy, kiedy jest stosowana świadomie, a nie jako środek „zamiast”. Nie chcę traktować jej jak ostatniej deski ratunku.

W przeciwieństwie do pokoleń trzydziestoparolatków Michał wierzy, że nie będzie musiał czekać w nieskończoność na swój fa-

bularny debiut. – Nie sędzę, żeby producenci skapili pieniędzy. Zrozumieli już chyba, że potrzebują nowych ludzi i pomysłów. Jeśli dostarczę dobry scenariusz, to każdy weźmie go z pocałowaniem ręki. Jestem święcie przekonany, że jak skończę pracę nad swoim projektem [warszawski kryminał – przyp. red.], to po pół roku go zrobię.

Nie, nie na cyfrze. Na taśmie. – Wojciech Has mówił nam w szkole, że taśma jest zrobiona z kości martwych zwierząt i dlatego jest w niej zaklęty duch.

Oglądamy na płaskim ekranie laptopa kilka wakacyjnych ujęć skreślonych na 16-milimetrowej taśmie filmowej. Właściwie niczym nie różnią się od setek taśm przywiezionych przez urlopowiczów z wakacji. Dziewczyna, plaża, morze. Ale słońce tak pięknie odbija się w błękitnym pareo dziewczyny, letnie powietrze drga, światło migocze i nawet niebo wydaje się prawdziwsze niż to cyfrowe. Czary. Magia. Początek filmu.

MAŁGORZATA FIEJDASZ

Złote Nożyczki – nagrodę „Przekroju” dla najbardziej dowcipnego filmu pokazywanego na 42. Krakowskim Festiwalu Filmowym – otrzymał film „Poland: The Update” w reżyserii Joanny Saneckiej, Krzysztofa Sakho i Denisa Wojdy. 18 cudzoziemców mieszkających w Polsce opowiada w nim o swoim życiu w naszym kraju. Z ich monologów wyłania się obraz Polski strasznie śmiesznej.



Jak bardzo zabójcza jest konsekwencja.
Jak bardzo śmieszne jest bycie filozofem.
Jak ważne jest dla Oksfordu Święto Kaczki.
O tym wszystkim opowiada „Przekrojowi”
profesor Leszek Kołakowski
w rozmowie z Michałem Komarem

życie nam nie służy

MICHAŁ KOMAR: Panie profesore, czy zgodzi się Pan, że filozof to taki człowiek, mędrzec czy też mistrz, który nie obawia się żadnych pytań, ponieważ jest albo wiecznie zdziwiony, albo nie dziwi się już niczemu?

LESZEK KOŁAKOWSKI: To są te dwie sprzeczne, pozornie sprzeczne, charakterystyki filozofa, że uczy dziwić się wszystkiemu i że uczy nie dziwić się niczemu. Ta ostatnia, jeśli pamiętam, pochodzi od Marka Aureliusza, a ta pierwsza chyba od Platona, ale ja myślę, że ani jedno, ani drugie nie jest szczególną cechą filozofa. W ogóle filozof to nie jest żaden mędrzec. Ja nigdy o sobie nie mówię, że jestem filozofem. Nie lubię też, żeby tak o mnie mówiono.

Ale nie da się tego uniknąć, skoro jest Pan filozofem.

– To prawda, ale nie lubię. Chyba już gdzieś wspominałem o tym, że mój przyjaciel, profesor filozofii, opowiadał mi, jak jego synek, chyba wtedy sześciolatek, poszedł do szkoły i tam nauczycielka pytała dzieci o personalia, między innymi: „Co twój tatuś robi?”, „Co robi mama?”, a on nic nie powiedział i nauczycielka rozgniewała się na niego. Po powrocie do domu tłumaczył rodzicom: „Przecież nie mogłem powiedzieć, że mój tatuś jest filozofem, bo wszystkie dzieci by się ze mnie śmiały”. Więc ja też nie używam słowa „filozof”, unikam go, bo po co wszystkie dzieci mają się ze mnie śmiać.

A jednak wyobraźmy sobie, że przychodzi człowiek pocciwy do filozofa i pyta, jak żyć...

– Człowiek pocciwy nie musi pytać o to filozofa, bo sam dobrze wie...

No to człowiek pocciwy przychodzi do filozofa, żeby go podać próbie. Pyta, jak żyć, i słyszy tysiąc możliwych odpowiedzi, z których dwie skrajne teraz zacytuję. Pierwsza mówi: „Módl się i pracuj”, a zawarta jest w niej pewność istnienia wyższego ładu, który – by ująć rzecz najprościej – zagwarantuje nam per-

spektywę zbawienia. Druga odpowiedź, którą przypisuje się Szestowowi, brzmi: „Jak żyć? To proste! Latem zbierać maliny, zimą zaś pić herbatę z konfiturami z malin, rozkoszować się”. Czyli jakoś sobie urządzić życie, bez powoływania się na wyższe gwarancje.

– To jest rozsądna propozycja, bo dobrze jest zbierać maliny i robić z nich konfitury. I nie jest wcale sprzeczna z poprzednią, bo można zrywać maliny, a jednocześnie modlić się do Boga. Tu nie ma żadnej sprzeczności. Od-

zadowolonym, ale i dlatego, że tak naprawdę nikt nie jest z życia zadowolony. Wszyscy jesteśmy jakoś nieudolni życiowo. Wszyscy jesteśmy nieprzystosowani do życia. Życie nam nie służy, w którymś momencie każdy chyba uświadamia sobie, że życie przegrał, a jeśli sobie nie uświadamia, to pewnie jest niemądry.

I dlatego wciąż szukamy recepty? Ostatnio takie zbiorowe poszukiwanie wiązało się z obchodami początku XXI wieku. Jedni twierdzili, że trzecie tysiąclecie zaczy-

albo będzie wiekiem mistycznym, albo wcale go nie będzie. Czyli, że po 200 latach prób utopijnych trzeba pod warunkiem istnienia do mistyki wrócić. Ale jak mistyka sobie poradzi z dziedzictwem nowoczesności?

– Mistyka nie może sobie radzić z dziedzictwem nowoczesności. Mistyka to doświadczenie jednostki. I te doświadczenia są nieliczne, nie było nigdy i nie ma wielu mistyków prawdziwych. Mistyka nie daje żadnego narzędzia poprawiania życia. To jest raczej dobrowolna rezygna-

tem kultury, jej niezmiennikiem. Że różne objawy religijności mogą słabnąć, to oczywiste, ale religie nie zanikają naprawdę. Jest dla nas rzeczą naturalną przekonanie, że świat jest zanurzony w jakiejś innej, zwierzchniej, rzeczywistości, która nadaje mu sens. Ta rzeczywistość jest empirycznie niedostępna, chociaż są możliwe jakieś ulotne przejawienia, które my, słusznie czy niesłusznie, bierzemy za jej głos czy też znak działania. Widać przecież, że w krajach, gdzie słabnie tradycyjna religijność katolicka, na przykład w Ameryce Łacińskiej, zjawiają się od razu liczne sekty, niektóre z nich protestanckie, inne półpogańskie albo całkiem pogańskie, które – wedle ich mniemania – mają ludziom dawać dostęp bezpośredni do tej drugiej rzeczywistości, dostęp lepszy niż sakramenty Kościoła katolickiego. Istnieją oczywiście społeczeństwa w dużym stopniu zlaicyzowane, na przykład w Europie Zachodniej, ale nie da się już tego powiedzieć o Stanach Zjednoczonych, które są krajem przodującym w sferze technologii. Trudno mówić o globalnej regule. Nie wiemy, co się stanie. Te procesy drastycznej laicyzacji, które oglądaliśmy we Francji i które są prawdopodobnie wynikiem różnych rozczarowań do Kościoła katolickiego, mogą powtórzyć się również w innych krajach, w szczególności również w Polsce. W każdym razie nie dziwiłbym się, gdyby do tego doszło. To nie jest jednak śmierć religii.

A skoro mówimy o dokładnym określeniu początku trzeciego tysiąclecia, to w tej sprawie muszę ufać mojemu college'owi w Oksfordzie. Otóż z początkiem wieku, raz na sto lat, obchodzimy Święto Kaczki. Jest to związane z legendą o założeniu college'u, kaczka jest naszym totemem. Zatem raz na sto lat mamy Święto Kaczki. Polega ono na jej poszukiwaniu. Chodzimy po różnych częściach uczelni, kiedyś się chodziło po dachu, ale ostatnio uznano, że to niebezpieczne, jeden z członków college'u jest Lordem Kaczki. W końcu tej kaczki nie znajdujemy. A że Święto Kaczki obchodziliśmy w styczniu 2001 roku, to



Leszek Kołakowski podczas obchodów swoich siedemdziesiątych urodzin. Redakcja „Gazety Wyborczej”, Warszawa, 1997

oznacza, że właśnie wtedy musiało zacząć się nowe tysiąclecie. Po 11 września część środków przekazu uznała, że Osama ben Laden zupełnie poważnie i zupełnie szczerze powiązał zasady religijne z działalnością

terrorystyczną. Wskutek tego pojawiły się protesty duchownych katolickich, którzy uznali mówienie o terroryzmie religijnym za oznakę groźnej dywersji przeciw Kościołowi. Ale gdyby przypomnieć słowa św. Bernarda:

„... śmierć poganina to chwała chrześcijanina”...

– Jeśli chce pan powiedzieć, że Kościół ma swoją własną historię terrorystycznych zabiegów, to nie będę oponował. Chrześcijaństwo daleko odeszło od prób nawraca-



FOT. PIOTR WOJCIK / AG

powiedzi na pytanie: „Jak żyć?”, też nie ma. Nikt jej nie zna. Milczącą treścią tego pytania jest bowiem: „Jak żyć, ażeby być z życia zadowolonym?”, a na to nie ma żadnej recepty, a nie może jej być nie tylko dlatego, że różni ludzie bardzo rozmaicie sobie wyobrażają, jak można być z życia

na się w roku 2000, drudzy, że w 2001, a trzeci, ci najbardziej podejrzliwi, że cały spór został wymyślony przez producentów szampana. A przy okazji nie było chyba ambitniejszego dziennikarza, który by nie powołał się na słowa André Malraux wypowiedziane w latach 60., że XXI wiek

cja z uciech świata na rzecz kontaktu z Bogiem. No tak, Malraux powiedział to, co powiedział, ładnie to nawet brzmi, ale ja nie wiem, czy miał rację.

Nie wierzę zupełnie w przepowiadany wielokrotnie w XIX wieku i później zanik religii. Jestem pewien, że religia jest inwarian-

FOT. ANIA PIETUSZKO FORUM

nia mieczem czy też fizycznego tępienia pogan. Jednak wojny religijne w chrześcijaństwie skończyły się dość dawno. Istnieją oczywiście różne niechęci czy nawet nienawiści, najsilniejsze w Kościele prawosławnym w stosunku do Kościoła katolickiego, ale te konflikty nie przybiorą postaci wojen religijnych. Co do islamu... No cóż, ja islam znam bardzo powierzchownie. Specjaliści mówią mi, że znany nam terroryzm inspirowany religijnie jest w islamie zjawiskiem zupełnie marginalnym. Jestem gotów to przyjąć, tyle że będąc marginalnym, jest jednocześnie zjawiskiem widowiskowym i wszyscy je znamy. Nie ma nic dziwnego w tym, że te okropności wielu ludzi przypisuje islamowi jako takiemu. Wezwania do niszczenia pogan – czyli chrześcijan i żydów – są dość, jak słyszę, pospolite w meczetach, również w Anglii, gdzie mieszka duża populacja muzułmańska. Niemniej nie chciałbym wierzyć, że islam ma wbudowaną w sobie ideę fizycz-

nego niszczenia ludzi innych wiar. Pamiętamy, że niegdyś islam był zdolny do inspirowania liczącej się twórczości kulturalnej, w różnych naukach, w matematyce i astronomii, w filozofii, w architekturze, w poezji, której ja oczywiście nie czytałem w oryginale, w teologii, no, w każdym razie była to bujnie rosnąca kultura, która wydała wielu ludzi wybitnych. A potem popadł w jakieś uśpienie, z którego się nigdy nie obudził. Tak zwany renesans muzułmański jest oparty na petrodolarach. Nigdy nie słyszałem o tym, żeby miał jakieś liczące się zaplecze kulturalne. Czy może teraz to przyjdzie? Nie wiem. Ale raczej przypuszczałbym, że jak się skończą petrodolary, mniej więcej w ciągu dwóch pokoleń, to i ten renesans może się skończyć.

W księgarniach ukazało się nowe wydanie zbioru Pańskich esejów pod tytułem „Pochwała niekonsekwencji”, a tytuł wprawia mnie w zakłopotanie, bo odkąd

pamiętam, uczono mnie, a i ja teraz uczę, że to konsekwencja jest cechą godną pochwały.

– „Pochwała niekonsekwencji” to był taki dość krótki esej, którego tytuł został użyty przez wydawcę Zbyszka Mentzla jako tytuł ogólny trzatomowego zbioru. Jest wiele okoliczności, kiedy konsekwencja jest zabójczą, kiedy ludzie zbyt konsekwentni popadają w mordercze samo-uwielbienie, wyrzynają się nawzajem. Nie jest to moje odkrycie, że sceptycyzm jest rzeczą dobrą, a konsekwencja totalna jest bardzo często źródłem fanatyzmu.

I dlatego Pan twierdzi, że i wiara jest prawomocna, i niewiara jest prawomocna...

– Tak. Rzeczywiście tak napisałem niedawno we wstępie do zbioru pod tytułem: „Co nas łączy? Dialog z niewierzącymi” wydanego przez ojca Stanisława Obirka SJ. Owszem, wiara jest dobra i niewiara dobra. Obie są prawomocne, nie w tym

jednak sensie, że jedna i druga są prawdziwe w takim znaczeniu, w jakim zazwyczaj używamy tego słowa. To nie są zbiory twierdzeń. Mam na myśli to, że jedno i drugie ma swoje funkcje kulturalne. Bo kultura, by żyć, zawsze potrzebuje skłócenia przeciwnych racji, racji absolutnie pewnych bowiem nie ma. Toteż powinny istnieć i wiara, i niewiara. Powinny istnieć, bo to przyczynia się do zdrowia duchowego w społeczeństwie. Zdaje mi się, że Miguel Unamuno powiedział, że każdy człowiek religijny ma gdzieś drugie dno – wątpię, podejrzewając, że może to jednak nieprawda, a każdy człowiek niereligijny, ateista, ma też drugie dno... A może jednak ci chrześcijanie mają rację? A jeśli obie strony tej rozmowy kierują się mądrą ochotą zrozumienia racji przeciwnych, to już jest dobrze.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
MICHAŁ KOMAR

LESZEK KOŁAKOWSKI

Moje życie

ze szczególnym
uwzględnieniem
szalonego wręcz
powodzenia u kobiet

Urodziwszy się w rodzinie obszarniczo-syjonistyczno-burżuazyjnej (moje prawdziwe nazwisko jest Lejba Ksawery X. Grynspan-Czartoryski), od dzieciństwa żywiłem wściekłą nienawiść do mas ludowych, Polski, Związku Radzieckiego i postępu. Już w 1903 roku zacząłem pracować w Ochronie, aby znęcać się nad klasą robotniczą, prowadzącą walkę o niepodległość pod przewodnictwem SDKPiL, a zarazem, w wiadomych celach, szerzyłem aktywnie błędy SDKPiL w sprawie narodowej. Jednocześnie byłem wtedy działaczem dywersyjnej burżuazyjno-obszarniczej partii PPS, która pod przykrywką hasła „niepodległości” usiłowała odciągnąć masy pracujące od walki klasowej i nieśmiertelnej przyjaźni polsko-radzieckiej. Jak prawie wszyscy endeko-piłsudczycy wstąpiłem też do syjonistycznej organizacji Bund, która szerzyła w masach żydowskich wiadome złudzenia, aby nie dopuścić do ich wyzwolenia z rąk rabinów i reakcyjnego kleru. Pracowałem też aż do 1914 roku w neohitlerowskiej organizacji Hakata, dokąd zostałem odkomenderowany przez masonerię w porozumieniu z Watykanem.

Kiedy w 1918 roku kraj nasz, dzięki usilnym staraniom Lenina i Dzierżyńskiego, odzyskał niepodległość, zwalczałem z pozycji dywersyjnych słuszne hasło wcielenia Polski do Związku Radzieckiego. Zarazem zaś, jako Żyd-obszarnik, oderwany od mas, popierałem niesłuszne na tym etapie hasło wcielenia Polski do Związku Radzieckiego. Ale zobaczyłem, że nie da się odwrócić koła historii (por. w tej sprawie pracę pułkownika Walentego Kapusia ps. Czy da się odwrócić koło historii?, Warszawa 1975, zwłaszcza rozdział 5 pt. „Nie da się odwrócić koła historii!”, a w szczególności paragraf 7 tego rozdziału pt. „Nikt nie odwróci koła historii”; dodajmy nawiasem, że pułk Kapuś dostał słusznie za tę pracę tytuł docenta, dwa Krzyże Walecznych i różne inne słuszne godności).

W latach międzywojennych jako sierżant Defy pracowałem aktywnie w trockistowsko-faszystowskich partiach liberalnych, dowodzonych przez Abrama Kohna i kardynała Hlonda; w celu mydlenia oczu masom ludowym występowałem przeciwko słusznej uchwale o rozwiązaniu KPP, którą to uchwałę wyż. wym. masy ludowe gorąco popierały. W tym samym



Leszek Kołakowski, Radom, 1933

czasie, wbrew masom ludowym, popierałem niesłuszną uchwałę o rozwiązaniu KPP, gdyż byłem całkowicie pogrążony w błędach i wypaczeniach kultu jednostki.

Nie muszę dodawać, że w latach wojny, z polecenia syjonistycznego odłamu masonerii, byłem majorem SS, bo to i tak wszyscy wiedzą. Aż do świtu 21 czerwca 1941 roku, ku oburzeniu mas ludowych, stałem po stronie anglo-francuskich imperialistycznych podżegaczy wojennych, którzy sabotowali pokojową politykę kanclerza Hitlera, a od samego świtu 21 czerwca 1941 roku zwalczałem wojenny wysiłek sprzymierzonych sił postępu i demokracji w walce z hitlerowskimi ludobójcami. Jako działacz zaplutego karła reakcji AK stałem z bronią u nogi i nie chciałem walczyć z okupantem, przez co też wykrwawiłem naród w prowokacyjnym powstaniu warszawskim. Kiedy w tym czasie 6 milionów Żydów wymordowało samych siebie, ja o tym głośno mówiłem, a o zbrodniach popełnionych na Polakach milczałem złośliwie (zobacz w Encyklopedii hasła „Oświęcim”, „Katyń” i „złośliwie”).

W pierwszych latach po wyzwoleniu zwalczałem wściekle, z pozycji reakcyjnego podziemia, reformę rolną oraz brałem udział, razem z Rotbaumem i Fajbergiem, w wypaczeniach stalinowskiego systemu bezpieczeństwa, któremu przewodził prezydent Bierut, wielki Polak i bojownik o sprawiedliwość. Co więcej, zwalczałem słuszną linię partii dowodzonej przez tow. Bieruta i „potępiałem” słuszną uwięzienie Gomułki – byłego sekretarza partii. Mało tego, budując kult jednostki, przyczyniłem się decydująco do niesłusznego uwięzienia Gomułki. Aż do września 1956 roku atakowałem słuszną linię partii i usiłowałem przywrócić do władzy zdemaskowanego, zbankrutowanego politykiera, niejakiego W. Gomułkę.

Nowe błędy popełniłem złośliwie po październiku 1956 roku, kiedy to zwalczałem ukochanego i wybranego przez naród sekretarza partii Wiesława Gomułkę i potem, kiedy to popierałem błędną politykę gospodarczą tow. Władysława Gomułki. Czyż muszę dodawać, że w tym celu oraz żeby podkreślić moją nienawiść do mas ludowych i do wolności, ożeniłem się z córką rabinu i reakcyjnego kleru?

W tym to czasie również napisałem „książkę”, w której wyłożyłem „teorię”, wedle której ŻYCIE IDEOWE KOMUNIZMU POLEGA NA NIEUSTANNYM ZJADANIU WŁASNEGO GÓWNA, chociaż zostało naukowo udowodnione, że jest wręcz przeciwnie (porównaj w tej sprawie dzieło zbiorowe Ignacego Pośladka i habilitowanego Chaima Werbelsyna pt. O naukowej naukowości naukowego marksizmu-leninizmu, zwłaszcza rozdział I pt. „Dialektyka pożywienia i gówna”, gdzie jest naukowo udowodnione, że przeciwstawienie pożywienia gówna jest antydialektyczne, rewizjonistyczne i nienaukowe; obaj autorzy słusznie dostali za swoją pracę po dwa Virtuti Militari i dodatek 900% do emerytury, z czego widać, że dzieło ich jest naukowe, a moja „teoria” fałszywa).

Przez cały ten okres bratałem się, rzecz jasna, z odwetowcami zachodnoniemieckimi i pogrobowcami hitleryzmu, jeżdżąc na zjazdach SS-manów i podobne imprezy organizowane przez „Kulturę” paryską i inne antypolskie ośrodki. Za to też ostatnio ciż sami SS-mani mi zapłacili „nagrodą”, którą już przedtem dostali takie „osobistości” jak niejaki Albert Schweitzer (prawdopodobnie Żyd), Martin Buber (jawny syjonista), „kardynał” Bea (samo nazwisko mówi za siebie), Janusz Korczak (prawdziwe nazwisko Grynbaum czy coś takiego; z nienawiści do postępu i Polski sam się spalił w 1942 roku), Ernst Bloch (uciekł z NRD, gdyż nienawidził wolności i osiedlił się wśród neohitlerowców z RFN), Hermann Hesse (sic!), Gabriel Marcel (nie ma nawet o czym mówić), Max Frisch (działacz szwajcarskiego imperializmu) i tym podobne dobrane towarzystwo.

Na płaszczyźnie międzynarodowej występuję się nadal na wszystkie sposoby krwawemu oprawcy narodu chilijskiego Pinochetowi i zwalczam postępowy ustrój demokratyczny marszałka (może już generalissimusa) Amina. Obecnie, kłamliwie zatając swoje zbrodnie, jednocześnie cynicznie się nimi chępię. (Pierwodruk: „Puls” nr 4–5, jesień–zima 1978/1979)

Tekst Leszka Kołakowskiego przedrukujemy z trzeciego tomu nowego, poprawionego i rozszerzonego wydania „Pochwały niekonsekwencji. Pism rozproszonych sprzed roku 1968” w wyborze i opracowaniu Zbigniewa Mentzla (wydawnictwo Puls, Londyn 2002).

**Film o drobnych, lecz decydujących
drganach ludzkiej duszy.**
San Francisco Chronicle

BERLIN 1999
nagroda publiczności

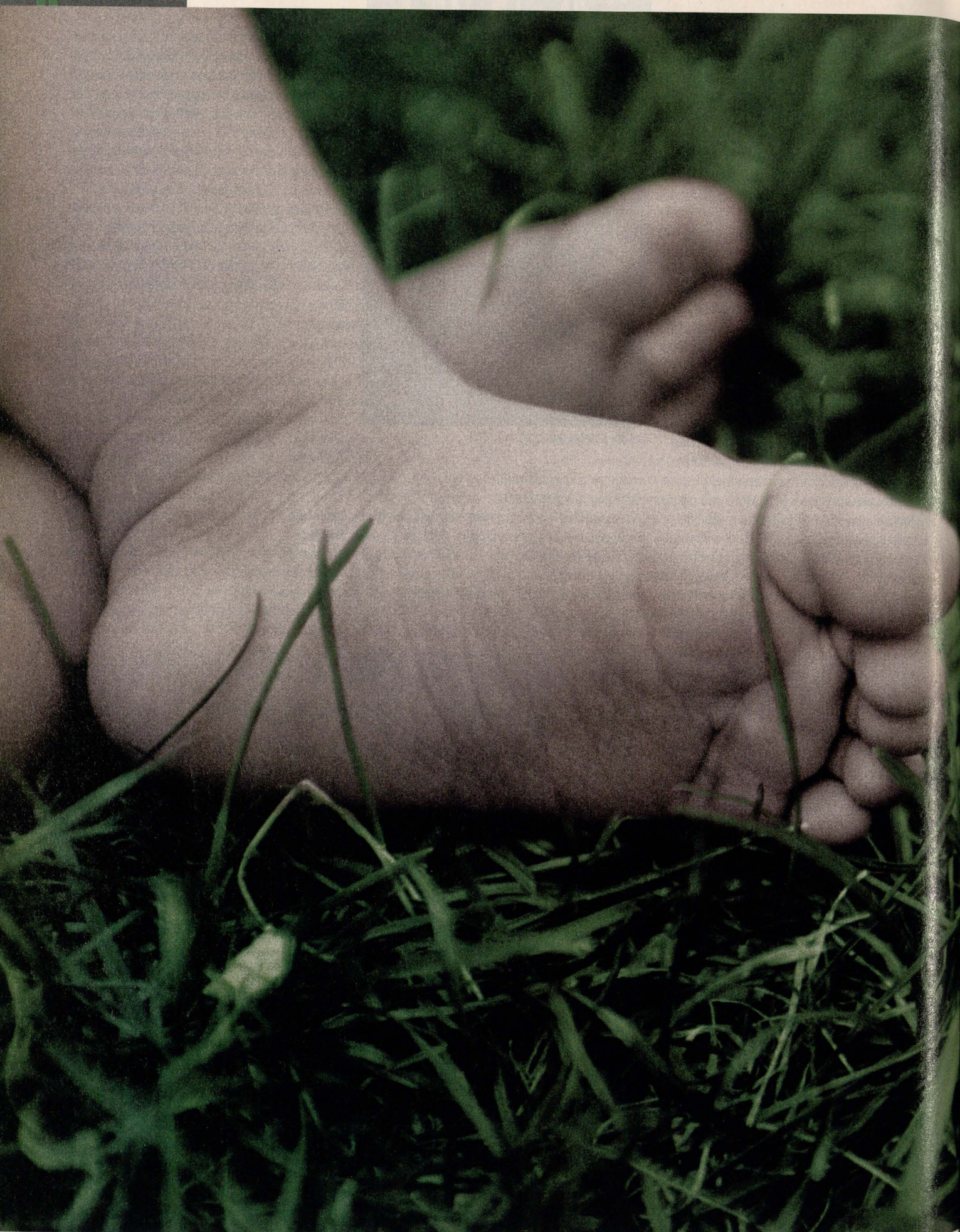
GOYA 2000
najlepszy debiut reżyserski
najlepszy scenariusz
najlepsi aktorzy: Maria Galiana
Carlos Alvarez-Novo,
Ana Fernández

Samotne
scenariusz i reżyseria Benito Zambrano

W KINACH OD 7 CZERWCA

TRÓJKA POLECA

POLSKIE RADIO SA



Zielone atakują

Polską ziemię szturmują obcokrajowcy. Atakują skrycie, rozpychają się, wypierają rdzenną konkurencję. Być może są już za twoim oknem albo w twoim ogródku

KONRAD T. LEWANDOWSKI

O kim mowa? O niewinnie wyglądających roślinach – międzynarodowych chwastach, które w ramach globalizacji rozsiewają się po całej ziemi. Zdarzają się wśród nich naprawdę przykre typy.

Owiń dziecko w folię

Zaczęło się lato, więc pewnie niedługo znów usłyszymy o barszczu Sosnowskiego (*Heracleum sosnowskyi*), a w telewizji zobaczymy ludzi pokrytych oparzeniami. Roślina ta wygrzana w pełnym słońcu wydziela lotne substancje, które w kontakcie z nagą skórą powodują martwicę tkanek. Do Polski sprowadzono ją jako paszę dla bydła, ale ze względu na bardzo gorzki smak krowy na pastwisku prędzej pozjadają siebie nawzajem, niż tkną rosnący tam barszcz. Aby zrobić z tej rośliny paszę, trzeba ją najpierw zakosić. Czyli uprzednio skosić, a z człowiekiem z kosą roślina ta świetnie sobie poradzi – jeśli nie poparzy, to przynajmniej wywoła alergię. Barszcze zatem się rozrastają, zwłaszcza w południowej Polsce, tworząc zarośla, w które można się zapuścić jedynie w kosmicznym kombinezonie.

Tymczasem barszcz to nie wszystko. Mamy jeszcze w kraju mniej znaną, a równie niesympatyczną iwę rzepleniolistną (*Iva xanthiifolia*) pojawiającą się przy torach kolejowych i na sterach piasku obok budowlanych wykopów. Jest ona gatunkiem silnie alergennym i jeśli wyrośnie przypadkiem w czyimś ogródku, botanicy zalecają szczerze owinać dzieci folią przed wypuszczeniem ich z domu.

FOT. CORBIS/FREE



Robinia różowa



Iwa rzepioliasta



Babka

Kwiatek z piekła rodem

Natomiast z cmentarzy czmychnął i szeroko się rozprzestrzenił niejaki rdestowiec ostrokończysty (*Reynoutria japonica*), który z upodobaniem sadzono na grobach z racji melancholijnej powierzchowności. Jak sama nazwa (łacińska) wskazuje, pochodzi on z Japonii, gdzie zwykle pojawia się jako pierwsza roślina kolonizująca tereny zniszczone przez wybuchy wulkanów. Kiedy zaś rdestowiec już dobrze się rozkrzewi, potrzeba kolejnej erupcji wulkanicznej, żeby się go pozbyć. Użycie koparki lub wiązki granatów nie gwarantuje pełnego sukcesu. Kolonizując teren, całkowicie wypiera z niego wszystkie inne rośliny, istnieją więc duże szanse, że za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat cmentarny nastrój zapanuje nawet w wesołych miasteczkach.

Podobne właściwości wykazuje pocziwa akacja (zwana uczenie robinia akacjowatą – *Robinia pseudacacia*), którą trudno podejrzewać o skłonności imperialne. A jednak – akacja, podobnie jak łubin, umie wychwytywać azot z powietrza, stąd jej opadające jesienią liście zawierają duże ilości tego pierwiastka.

Po latach gleba pod akacją jest tak silnie nasycona azotem, że nie wyrosną tam żadne inne rośliny, może z wyjątkiem pokrzywy. Nie stwarzają problemu robinie rosnące przy miejskich ulicach, gdzie opadłe liście systematycznie się usuwa. Jeżeli jednak pozostawić te drzewa samym sobie, po 20–30 latach otrzymujemy rodzaj półpustynnej sawanny – gołą ziemię pokrytą lasem akacji. Tak stało się już na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie.

Podobne spustoszenia czyni czeremcha amerykańska (*Padus serotina*) po sądziedzku, bo w Puszczy Kampinoskiej.

Eksplzja dzieworódtwa

Obce rośliny rozprzestrzeniające się na nowym, odległym od ich pierwotnych siedlisk terenie posiadają wiele właściwości, które dają im przewagę nad roślinami rodzimymi. Nie mają naturalnych wrogów – zwierzęta nie znają ich, więc nie zjadają; pasożytnicze grzyby też jeszcze nie potrafią się na nich rozwijać. Ponadto rośliny miejscowe bywają często bardzo wybredne, na przykład potrafią rosnąć tylko na ocienionym, bagnistym brzegu strumie-

nia. Jest to efekt ewolucyjnych przystosowań powstałych w ciągu tysięcy lat.

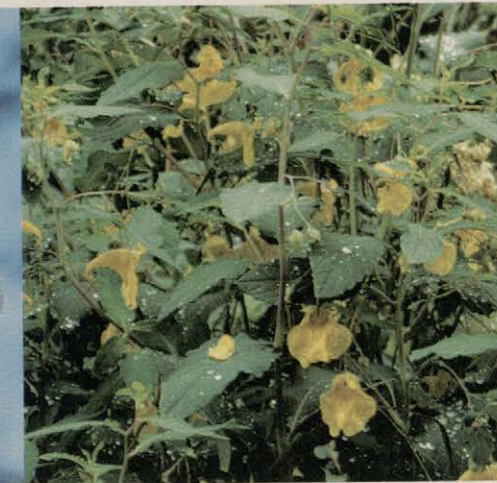
Kosmopolityczne McChwasty nie są aż tak grymaśne. Nie miały czasu na specjalizację, więc zajmują wszystko, jak leci, korzystając z braku naturalnych wrogów. Znikają zatem rośliny endemiczne, niezdolne przenieść się w inne miejsca, a wraz z nimi giną ich niepowtarzalne geny, na przykład te warunkujące odporność na grzyby i bakterie, które mogłyby się przydać ludziom.

W Puszczy Białowieskiej – tak jak w całej Europie – azjatycki niecierpek drobnokwiatowy (*Impatiens parviflora*), który w roku 1830 zbiegł z ogrodu botanicznego w Genewie, bardzo skutecznie wypiera swojski niecierpek pospolity (*Impatiens noli-tangere*).

W jeziorach i kanałach do rozpacz doprowadza żeglarzy i wędkarzy moczarka kanadyjska (*Elodea canadensis*). Rozpoczęła europejską karierę w roku 1859, kiedy to w ogrodzie botanicznym w Berlinie postanowiono jej nadwyżki wyrzucić do rzeki. Co prawda, były to wyłącznie osobniki żeńskie (męskich nikt nie sprowadził do Europy), ale rośliny te skutecznie rozmnażają się bezpłciowo.



Czeremcha



Niecierpek pospolity



Moczarka kanadyjska

W Polsce w ostatnich latach odnotowano ucieczkę bodziszka żałobnego (*Geranium phaeum*) z ogrodu botanicznego w Powsinie. Na szczęście, jest to gatunek rodzimy, pochodzący z południa Polski, więc na razie nie ma powodów do obaw.

Drugi podbój Ameryki

Narzekań na ekspansję obcych gatunków roślin słychać po obu stronach Atlantyku. W Ameryce nawet głośniejsze, gdyż europejskie rośliny wyselekcjonowane i zahartowane w kolejnych epokach lodowcowych wykazują znacznie większą ekspansywność na gruncie amerykańskim niż rośliny amerykańskie w Europie. W ostatnich dziesięcioleciach za Atlantyk wyemigrowało 300 gatunków roślin, Ameryka zrewanżowała się 145.

Współcześni Indianie, spotykając na prerii dużą pocziwą babkę większą (*Plantago major*) o okrągłych liściach, nazywają ją z przekąsem „stopą białego człowieka”. Ostatnio amerykańskie mokradła i brzegi rowów nawadniających w szaleńczym tempie zarasta krowianka pospolita (*Lythrum salicaria*).

W odwecie Europę szturmują czerwone dąb amerykański (*Quercus rubra*), którego liście opanowały już nawet... polskie pięciogroszówki. Natomiast w kolejce po wizę do Europy czeka grzyb powodujący wędnięcie dębów na wschodzie USA. Jeśli ten pasożyt zdoła przekroczyć Atlantyk, może powtórzyć się sytuacja z roku 1918, kiedy to grzyb powodujący tak zwaną holenderską chorobę wiązków doprowadził do zaniku lasów wiązkowych. Teraz mogą przepaść dąbrowy.

Zielona globalizacja

Do czego to wszystko prowadzi? W pierwszej kolejności do zubożenia i ujednolicenia świata roślin na wielkich połaciach naszej planety. Powiedzmy, że to jest jeszcze zmartwienie pasjonatów-botaników, którym zwykli zjadacze chleba mogliby się nie przejmować. Zmiany zachodzą powoli, niepostrzeżenie, można się przyzwyczaić. Tylko czasem ktoś rozejrzy się ze zdziwieniem dookoła i zapyta: Gdzie, u licha, podziały się jabłka papierówki? Ano pożarła je globalizacja.

Potem jednak kłopoty będą większe. Rodzime pasożyty w końcu przystosują się do przy-

byszów i rozpoczną rzeź McChwastów pozbawionych genów odporności. Wielkie obszary zieleni staną się ofiarami masowych epidemii i plag szkodników. Ten problem znają już leśnicy i rolnicy, a także sadownicy, którym wymarzały całe sady nowoczesnych odmian jabłoni nieprzystosowanych tak dobrze do polskiego klimatu jak wzgardzone papierówki.

Dziś cierpimy głównie z powodu działań XIX-wiecznych ogrodów botanicznych, które bez ograniczeń sprowadzały i wymieniały pomiędzy sobą możliwie najbardziej egzotyczne gatunki roślin. Teraz pałeczkę przejmują wielkie międzynarodowe firmy ogrodnicze, które równie niefrasobliwie na masową skalę rozpowszechniają najrozmaitsze gatunki McRoślin, z których część zdżiczeje i stanie się ekspansywnymi McChwastami. W przyszłości problemem mogą być wymykające się spod kontroli rośliny transgeniczne.

Oczywiście, przyroda jest cierpliwa i ze wszystkim sobie poradzi – kiedyś przywróci równowagę. Jak długo to potrwa? Na razie wygląda na to, że czeka nas kilka tysięcy lat standardowej zielonej bylejałości.

KONRAD T. LEWANDOWSKI

Bodziszek żałobny



Robinia biała



Barszcz Sosnowskiego



Rdestowiec ostrokończysty



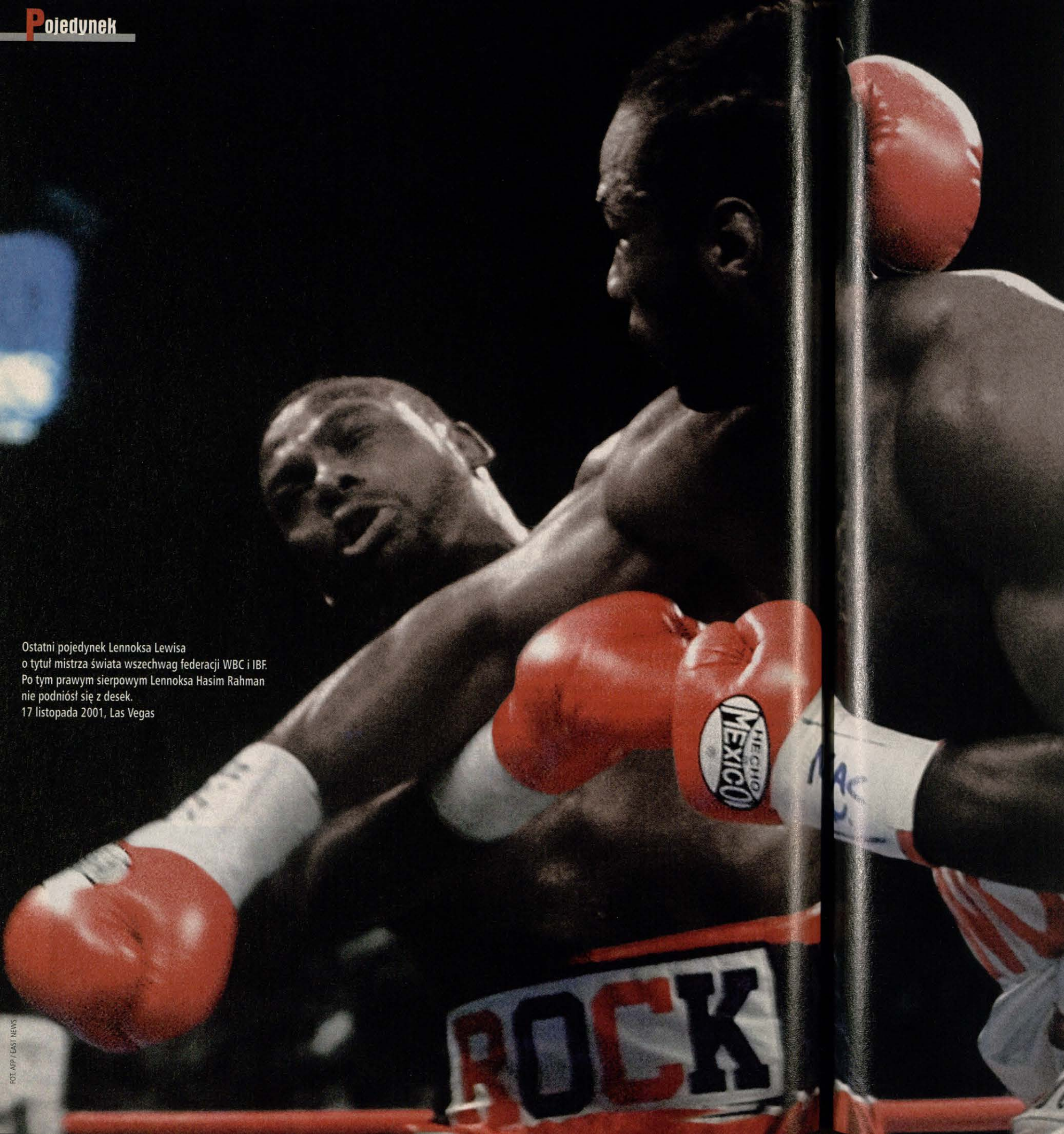
Dąb amerykański



Niecierpek drobnokwiatowy



FOT. CORBISS/FREE (2), BOTANICAL, IPM/3, EAST NEWS/2, FORNIA, BIODIVERSITY



Ostatni pojedynek Lennoksa Lewisa o tytuł mistrza świata wszechwag federacji WBC i IBF. Po tym prawym sierpowym Lennoksa Hasim Rahman nie podniósł się z desek. 17 listopada 2001, Las Vegas

8 czerwca w Memphis w stanie Tennessee **MIKE TYSON** zmierzy się z **LENNOKSEM LEWISEM**.

Stawką będzie tytuł mistrza wszechwag dwóch federacji boksterskich: WBC i IBF. To będzie pierwsza prawdziwa walka nowego stulecia

BESTIA *kontra* MELOMAN

Ta walka powinna rozstrzygnąć pojedynek, który bokserzy toczą już co najmniej od roku. Na razie przeważają słowa, choć słynne zęby Żelaznego Mike'a już były w robocie. Po zeszłorocznej konferencji prasowej, na której Tyson obraził rodzinę Lewisa, jego samego wyśmiał, a na koniec go pogryzł i poturbował mu wielkiego jak Big Ben ochroniarza – wydawało się, że panowie w zasadzie powiedzieli sobie wszystko.

Okazało się, że nie. „Kocham go, ale zabiję” – odgrażał się na początku roku Tyson. Zabrzmiało łagodnie, bo wcześniej zagroził, że zje Lewisowi dzieci. „Ten koleś twierdzi, że czytał w więzieniu książki – odparował Brytyjczyk. – Jeżeli tak traktować komiksy, to OK. To ignorant i arogant”. Riposta Tysona nadeszła jak jego słynny sierpowy. „Rozsmaruję jego napuszony mózg po ringu. Zabiorę mu tytuł i jego muzyczkę”. Wiadomo, że Lewis lubi soul. Ale nie zareagował spokojnie jak meloman. „Imbecy! – zwrócił się do przeciwnika 7 maja – twoja kariera kończy się tam, gdzie zaczyna moja pięść”.

I tak byłoby bez końca, bo wiadomo, że sztab obu pięściarzy zatrudnia fachowców od celnych ripost. Na szczęście przynajmniej jednemu z panów 8 czerwca nie w głowie będą wyszukane słowa. Obaj zapowiedzieli, że ten dzień przejdzie do historii boks.

Trudno znaleźć pięściarzy tak mało do siebie podobnych. Gdy sepleniący Michaś Tyson ganiał się z policjantami po Nowym Jorku, grzeczny Lennox pilnie odrabiał lekcje w Londynie. Gdy

Tyson ubijał narkotykowe interesy w slumsach, Lewis marzył o karierze koszykarza. Gdy zdecydował się na boks, Tyson już tłukł się za pieniądze.

O Tysonie zrobiło się głośno w roku 1986. Jako najmłodszy w historii boks zawodnik, zaledwie 20-letni, zdobył tytuł mistrza świata wszechwag wersji WBC. Rok później był już czempionem trzech federacji. Lewis rozwijał się wolniej. W roku 1992 znokautował w drugiej rundzie mistrza Razora Ruddocka, w tym samym roku został mistrzem organizacji WBA. Pierwsze cięgi zebrał, gdy Tyson literował na więziennej koi książki Tołstoja. W 1994 powalił go na deski Olivier McCall. Trzy lata później zemsta byłaby straszliwa, gdyby nie to, że McCall po prostu popłakał się na ringu.

Obaj pięściarze bili się również z Andrzejem Gołotą. Lewisowi wystarczyło 91 sekund, aby w październiku 1997 roku posłać Polaka na deski, Tyson bił się dłużej. Gołota po dwóch rundach pojedynku po prostu się poddał. Dziś Lennox Lewis ma na koncie 39 zwycięstw i dwie porażki. Waży 113 kilogramów (zapewne do walki zrzuci kilka kilo) i ma 196 centymetrów wzrostu. Tyson z 49 wygranymi i trzema porażkami jest o głowę niższy (181,5 centymetra) i ponad 10 kilo lżejszy. Na razie bukmacherzy stawiają na Brytyjczyka. Trzy dolary za jednego, że Żelazny Mike zardzewiał i padnie na deski. Tak czy siak panowie dostaną po 20 milionów dolarów bez względu na wynik spotkania.

MICHAŁ WÓJCIK



Mistrz świata wagi ciężkiej James J. Jeffries. W czerwcu roku 1899 znokautował w 11. rundzie Boba Fitzsimmonsina. Trzy lata później obronił tytuł, posyłając Boba na deski w ósmej rundzie

PIĘŚĆ W HISTORII

O greckim atlecie, który ze wstydu po wygranej walce popadł w obłęd, o angielskim woźnicy, dzięki któremu wymyślono reguły boks, i o „walkach z miłości” mówi JAN SKOTNICKI, historyk boks

Najstarszy opis walki bokserskiej pochodzi ze starożytnej Grecji. Jeszcze z epoki mitów. Wydarzenie to w historii boksu występuje pod datą 1220 roku p.n.e. Mamy datę pojedynku, mamy imiona zawodników, publiczność i stawkę. Czyli niezbędne warunki, aby ująć jakąś walkę za pojedynek bokserski. Stawką niekiedy było życie. Otóż niejaki Polideukes, brat Heleny (to przez nią wybuchła wojna trojańska), w czasie wyprawy Argonautów zmierzył się z królem Amykosem. Ten miał wredną naturę, bo wyzywał do walki każdego gościa i zabijał go w pojedynku, a gdy ten odmawiał walki – bezceremonialnie strącał go ze skały. Walka przypominała pojedynek Goliata z Dawidem. Wygrał sprytniejszy, czyli szybszy i zwinniejszy. Źródła greckie mówią, że Amykos był pierwszą śmiertelną ofiarą boksu. Poza tym był to pierwszy triumf szybkości i techniki nad brutalną siłą fizyczną.

Od czasów 23. olimpiady w roku 688 p.n.e. boks stał się dyscypliną olimpijską. Znamy imiona ówczesnych zawodników. Dzięki wazom greckim wiemy, jak wyglądali. Od dzisiejszych bokserów różnili się tym, że walczyli nago. Na dłoniach nosili specjalne paski zwane *himas*. Takim paskiem ze skóry cielej zawodnik chronił własne dłonie. Dopiero rzymscy gladiatorzy paski te nabijali ćwiekami, aby walka nabrała rumieńców.

Grecy robili przy tym wszystko, żeby żaden z zawodników nie zginął. Do wypadków śmiertelnych, co prawda, dochodziło, ale były one surowo karane. W roku 492 p.n.e. Kleomedes z Astypalai w ferworze walki zabił przeciwnika. Za karę nie otrzymał wieńca laurowego i został wyklęty. To tragiczna postać. Zabicie przeciwnika wyrzuciło go poza nawias społeczeństwa. Niedoszły bohater popadł ze wstydu w obłęd. Na swoje i cudze

nieszczęście Kleomedes miał własną szkołę boksu. Gdy wrócił z olimpiady, w *symposionie*, czyli w takim centrum odnowy biologicznej, gdzie był stadion, sale ćwiczeń i łaźnie, jego uczniowie zgromadzili mu koszmarnie powitanie. Wybuchnęli śmiechem. Kleomedes jak biblijny Samson wpadł do klasy i zatrząsł słupem, który podtrzymywał sklepienie. Wszyscy polegli pod gruzami. Sam Kleomedes, niestety, nie zginął. Jak w kreskówce otrząsnął się z kurzu i uciekł do świątyni. Tam zamknął się w wielkiej skrzyni i zatrzaskał od środka. Gdy ślusarze otworzyli wieko – nieszczęśnika nie było. Bogowie zabrali go na Olimp.

Nowe czasy

Boks nowożytny pojawił się na jarmarku. Po prostu jakiś lokalny osiłek ogłaszał się mistrzem i wyzywał na pojedynek każdego chętnego. Pierwsze sprawozdanie z meczu bokserskiego pochodzi z roku 1681. Gazeta „Protestant Mercury” opisała wydarzenie na dworze lorda Amberlego. Otóż lokaj lorda pojedynekował się z rzeźnikiem jaśnie pana. Wygrał rzeźnik. Nie wiemy jednak, o co poszło i jaki był zakład. Za to doskonale znamy historię pojedynku rozegranego 46 lat później. W londyńskiej gospodzie Pod Adamem i Ewą 23-letni James Figg otworzył Figg's Academy of Boxing i w roku 1727 stoczył słynny pojedynek z Nedem Suttonem. Składał się z trzech dyscyplin. Panowie najpierw walczyli na pałasze, potem był boks i na koniec zapasy. Zawody zakończyły się utratą przytomności jednego z mocarzy. Pojedynek oglądał premier Wielkiej Brytanii i znany skądinąd Jonathan Swift, autor „Przygód Guliwera”.

Po raz pierwszy pojawia się wówczas słowo „boks”. Skąd pochodzi? Nie wiadomo. Być może wiąże się z tak zwanym *Boxing Day* obchodzonym w Anglii 26 grudnia. *Boxing Day* to dzień wręczania upominków. Po angielsku *box* to pudełko. 26 grudnia urządzano też walki bokserskie, bo był to dzień wolny od pracy.

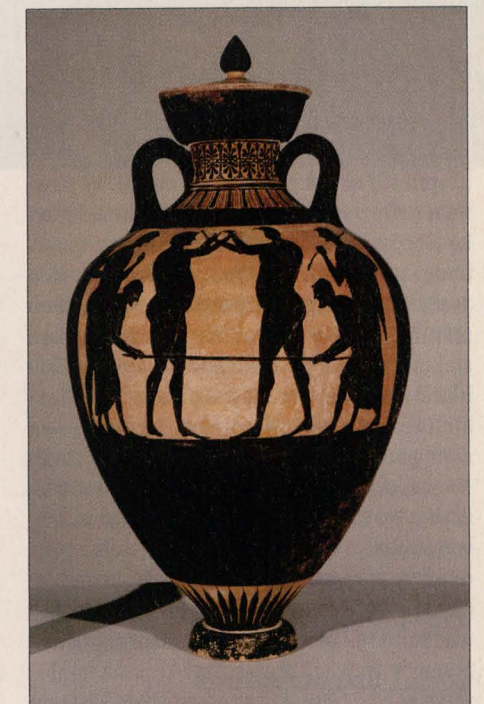
Rozrywka elit

Boks od zawsze cieszył się powodzeniem w wysokich sferach. Figg był przyjacielem bardzo znanego rysownika i ilustratora Williama Hogarta. Właśnie on wykonał dla przyjaciela pierwsze w historii boksu plakaty reklamowe. Miłośnikiem boksu był również romantyczny poeta George Byron. Dzisiejsi uczniowie, którzy

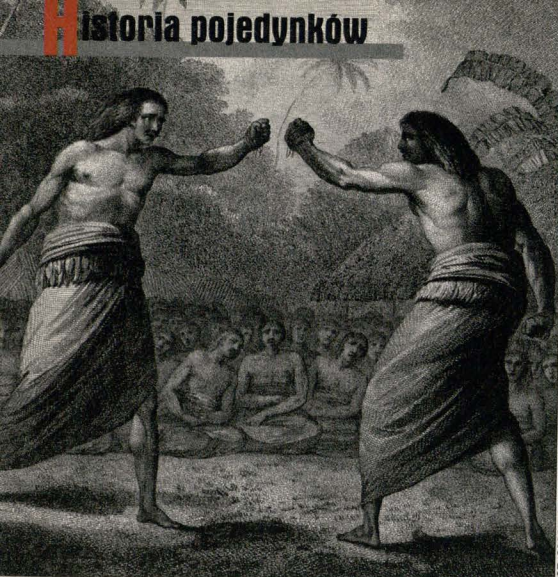
czytają jego utwory jako lektury szkolne, nie wiedzą, że Byron bił się bardzo dobrze. Sparował nawet z mistrzem Johnem Jacksonem uważanym za najlepszego boksera tego okresu. Byron, który bynajmniej nie był chucherkiem, powalił Jacksona na deski. Jackson otworzył potem pierwszą w Anglii szkołę samoobrony dla arystokracji.

Inny bokser, a zarazem prawodawca bokserski Broughton został pochowany w katedrze westminsterskiej w roku 1789. O ile pierwszym mistrzem był Figg, o tyle „ojcem” boksu jest właśnie Broughton. To on jako pierwszy 1 stycznia 1743 roku wyzwał na pojedynek wszystkich pretendentów do tytułu mistrza świata. Kandydatom do tytułu dał trzy miesiące czasu. Zgłosił się tylko jeden. George Stevenson.

Stevenson był woźnicą u pana Sykesa. Ten leciwy człowiek miał młodą żonę. Ta bardzo udzielała się towarzystwu i często podróżowała bez swojego męża. I pewnego razu na dyliżans pani Sykes napadło trzech oprychów. Woźnica oczywiście stanął w obronie swojej pani. Jednego z napastników zastrzelił, innemu rozwalił głowę kolbą pistoletu, trzeciemu skreślił kark. I tak rozpoczął się burzliwy



W starożytnej Grecji boks był konkurencją olimpijską. Waza z V wieku p.n.e.



Pojedynek bokserski w Hapaee w Polinezji. XVIII wiek

romans woźnicy z młodą damą. Oczywiście, mąż dowiedział się o tym jako ostatni. Ale był na tyle roztropny, że nie dochodził sprawiedliwości sam, lecz zwolnił swego woźnicę z pracy i wysłał do Londynu na mecz z Broughtonem. I tak doszło do pojedynku Stevensona z „ojcem prawodawcą”. Stevenson wyszedł z walki pokonany, z połamanyimi żebrami. Po trzech tygodniach zmarł. Walka była tak brutalna, że zwycięzca postanowił wprowadzić jakieś reguły zachowania na ringu.

Broughton wprowadził wówczas zasadę polegającą na przerywaniu walki po każdym *knockdownie*. Nie wolno było atakować przeciwnika leżącego lub klęczącego. Nie wolno było kopać, gryźć i łapać za włosy. Na rycinach sprzed tego okresu wyraźnie widać, że zawodnicy są łysi – to właśnie po to, aby przeciwnik nie łapał za czuprynę. Przerwę między rundami ustalono na 30 sekund.

Pierwsze walki, pierwsze pieniądze

Ówczesne walki były statyczne. Bokserzy stali w pewnej odległości od siebie i hipnotyzowali się nawet przez kilka minut. W pewnym momencie jeden drugiego walił w szczękę albo wywracał jakimś zapaśniczym sposobem i ogłaszano przerwę. Już wtedy z całą premedytacją zawodnicy wykorzystywali przepisy. Polegało to na tym, że po zadaniu ciosu atakujący klękał na jedno kolano i zyskiwał kilka chwil. Uderzony nie mógł mu oddać. Taki Tom Hyer walczył z Georgiem McChestesem dwie godziny i 55 minut. W sumie 101 rund. Nie zapominajmy jednak, że mistrzowie walczyli tylko kilka razy w życiu. Oczywiście, mówię o walce o tytuł. Nie to co teraz – kilka pojedynków w ciągu roku. Walki były brutalne, łamano sobie kości na potęgę i w końcu wprowadzono rękawice. Najpierw na treningach, potem w walkach o małą stawkę, a na koniec w walkach o tytuł. Poza tym nie było systemu promocyjnego. Zawodnicy świetni w ringu, gdy z niego schodzili, już mało kogo interesowali.



Walki pod gołym niebem koło Londynu gromadziły w XIX wieku dziesiątki tysięcy widzów

Nierzadko kończyli w przytułkach dla bezdomnych.

Pionierzy boksili bili się w specjalnych amfiteatrach, ale te były w stanie pomieścić tylko do tysiąca kibiców. Dość szybko zaczęto organizować walki pod gołym niebem. Organizator grodził teren, w połowie XIX wieku ustalono, że taki ring ma mieć 25 x 25 stóp, czyli nieco ponad 7 x 7 metrów. Aby wszyscy mogli widzieć, pierwsze rzędy widzów leżały, drugi rząd kucał, trzeci siedział, a czwarty stał. Zdarzały się pojedynki, które oglądało po 30 tysięcy widzów.

Niektóre walki, zależnie od rangi spotkania, dotyczyły się tylko o sławę. To były zawody *for love* – czyli z miłości. Stawką innych, mniej ważnych, było parę szylingów. Natomiast pojedynki rangi mistrzowskiej od początku XVIII wieku odbywały się za bardzo wysokie honoraria plus pieniądze za wejściówki. Najwyższa znana nam suma to tysiąc gwinei. Bill Dart zarobił tyle za zwycięstwo nad Tomem Jacowem. O tym, jak wysoka była to stawka, niech świadczy fakt, że rekord ten został pobity dopiero tuż przed końcem stulecia. W tym okresie mistrzem był Jemward. To on wyśrubował wysokie stawki za pojedynki i nie schodził poniżej tysiąca funtów za walkę. W tym pionierskim okresie bokserzy przejawiali patologiczne zainteresowanie alkoholem i kobietami. James Burke jeździł od miasta do miasta i walczył z przygodnymi zawodnikami za pieniądze. Czasami zbliżał się do wymarzonej kwoty, ale przepijał pieniądze i skończył jako pijaczek i babiarz.

Machina do zarabiania pieniędzy

Gdyby nie promotorzy, nie zaistniałoby wielu doskonałych zawodników. W roku 1810 odbył się pierwszy z trzech ostatecznie rozegranych pojedynków między Tomem Cribbem i murzyńskim niewolnikiem Tomem Molineauksem. Wcześniej zawodnik ten walczył w Stanach dla swojego pana. Wywalczył dla niego prawdziwą fortunę. Ale nie mniejsze pieniądze czekały go za oceanem. Molineaux popłynął do Londynu

i jego nowy promotor zorganizował mu walkę z portowym zabijaką Tomem Cribbem, ówczesnym mistrzem Anglii. Walka trwała 39 rund. Pojedynek oglądało 40 tysięcy widzów i zakłady były bardzo wysokie. Niestety, napięcie udzieliło się sekundantom, ponieważ jeden z nich, Cribba, zakradł się w czasie przerwy do narożnika Molineauksa i... odgryzł mu kciuk. Wybuchło potworne zamieszanie. Murzyn oberwał jeszcze w głowę dragiem przytrzymującym linę i w końcu ze złamaną szczęką musiał uznać wyższość Anglika. Potem jeszcze raz przegrał i raz wygrał. W XIX wieku walczone już o prawdziwe fortuny porównywalne z pieniędzmi, o jakie dziś walczą mistrzowie wag superciężkich.

Przed Gołotą

Pierwsi Polacy pojawili się dopiero na początku XX wieku. Stanisław Kiecal, czyli Stanley Ketchel, był mistrzem świata w wadze średniej w roku 1907. Dwa lata później walczył o tytuł mistrza świata wszechwag z Johnsonem. Posłał go nawet na deski, Johnson był liczony do dziewięciu, ale wstał i znokoutował naszego zawodnika w 12. rundzie. Ketchel to tragiczna postać. W roku 1910 miał już zorganizowaną walkę o kolejny tytuł mistrza świata. Pojechał do przyjaciela na wieś, gdzie miał przygotowywać się do pojedynku. Niestety, wdał się tam w romans z pokojówką. Jej narzeczony się nie patyczkował i wpakował Ketchelowi dwie kulki w plecy. Za mordercę wysłano list gończy, w którym było napisane, że nagroda czeka tego, kto przywiezie go, ale... martwego. Następnym tak utalentowanym Polakiem był Antoni Florian Załęski, który za pojedynki ze słynnym Rockym Grazianem w roku 1946 otrzymał 78 tysięcy dolarów. Walkę o tytuł mistrza świata wygrał przez nokaut. Rok później było na odwrót. Rocky posłał Polaka na deski. Z kolei trzeci pojedynek znowu był zwycięski dla Polaka... ale to już zupełnie inna historia. I zupełnie inny boks.

Jana Skotnickiego wysłuchał Michał Wójcik

Za króla Staśka

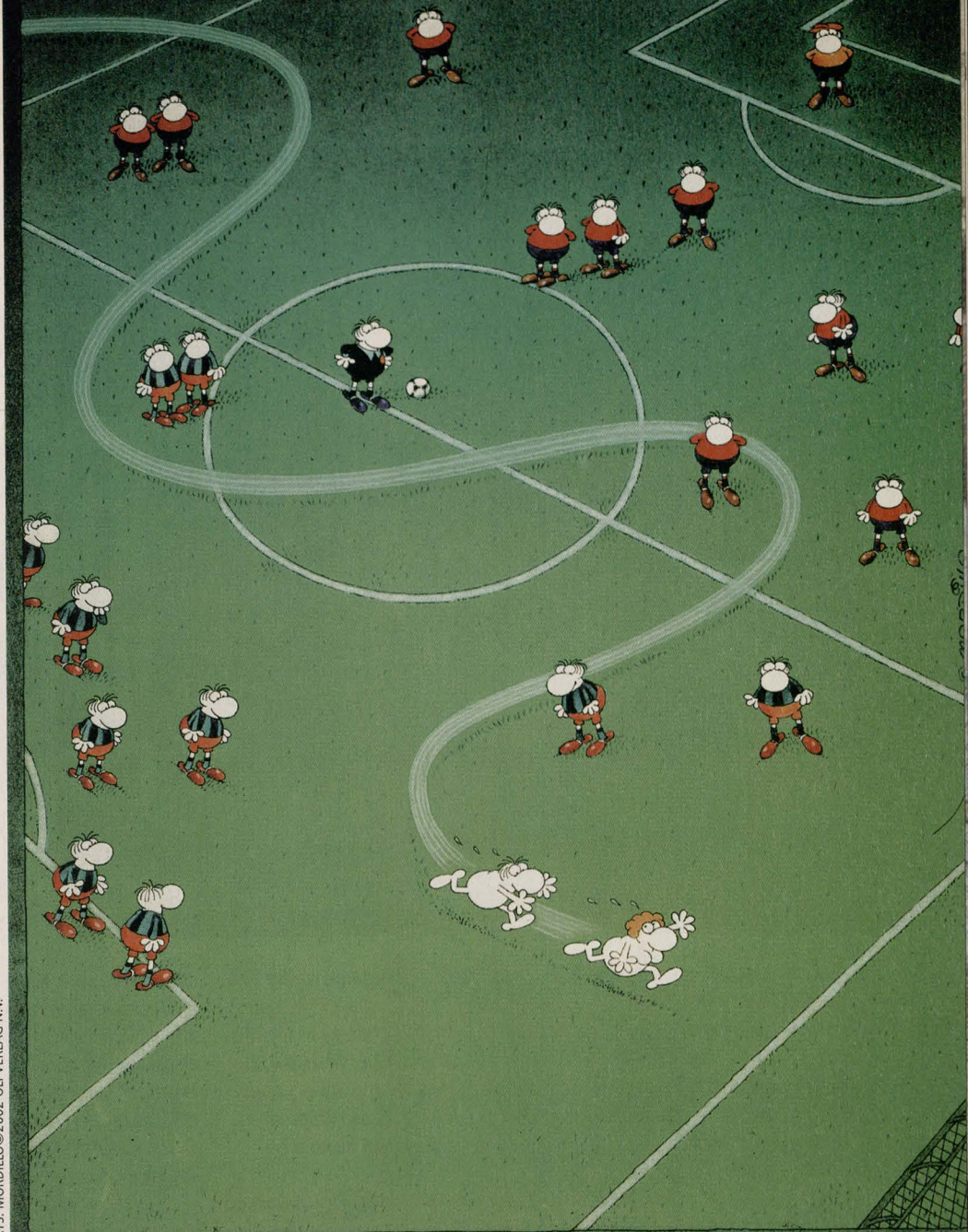


Ciężko jest być emigrantem w Polsce. Zwłaszcza jak się jest Angolem. Inni cudzoziemcy mają znacznie łatwiej. Na pewno też tęsknią na swój sposób za domami, ale zawsze natrafiają na jakieś ślady swoich krajów. Weźmy moich kochanych sąsiadów Francuzów. Restauracji z kuchnią francuską pod dostatkiem. *Bordeaux* i *Beaujolais* w niemal każdym monopolu. Protesty rolników, blokady dróg, strajki... zupełnie, jakby byli u siebie. A my, Angole, to co mamy robić? Zakupy w Tesco? Chodzić na mecze i dołączyć do pseudokibiców? Są dni, kiedy sobie myślę: cholera, zjadłbym coś naprawdę niesmacznego. Ale nic z tego. Najbliższe sklepy *fish and chips* są o tysiąc mil stąd.

Jednak wcale nie musi tak być. Dlaczego by tak nie przenieść niektórych instytucji brytyjskich na polską ziemię? Można by było na przykład zacząć od wprowadzenia rodziny królewskiej. Załóżmy, że naród decyduje się nie wprowadzać na tron potomka ostatniego króla, ale odnaleźć kogoś z wcześniejszej dynastii. Najlepiej Piastów. Jak zacząć od nowa, to od samego początku. Załóżmy, że zaczyna się wielka akcja poszukiwania przyszłego monarchy i że historycy go odnajdują, i że mieszka w Sosnowcu, gdzie pracuje jako hydraulik. Stasiak przyjeżdża do Warszawy specjalnym pociągiem, z wielką pompą (niehydrauliczną). Bankiet w Warsie, czerwony dywan na Centralnym. Błysk fleszy.

Od razu rodzi się nowa gwiazda dla kolorowych pisemek. Koniec z ciągłymi odwiedzinami u Kwaśniewskich. Rozwiązuje się też problem, czy zmienić konstytucję po tych pięciu latach, czy nie. Po prostu jej już nie ma, tak jak w Anglii. Znika urząd prezydenta. Partia rządząca nie musi już się borykać z ewentualnym wetem głowy państwa. Znaczenie polityczne króla jest zredukowane do minimum. Zmiana warty przed Pałacem Kultury (gdzie Stasiak postanowił zamieszkać w symbolicznym geście pojednania narodu) staje się główną atrakcją turystyczną Warszawy. Ściągają turyści z całego świata. Przystarzałe instalacje hydrauliczne w Pałacu wymienia sam król. Cały naród jest zachwycony. Jednoczy się jak nigdy dotąd ze swoim królem.

Król podróżuje po świecie. Szczególnie ciepło witany jest w Anglii. Tam zaraża się pasją gry w krykieta, która w krótkim czasie staje się w Polsce narodowym sportem. Gwałtownie rośnie liczba uprawiających go. Nareszcie jakiś sport, przy którym nie trzeba się



RYŚ: MORDILLO © 2002 OLI VERLAG N.V.

Guillermo MORDILLO

zbyt wysilać fizycznie. Przy okazji król zmienia system administracyjny w Polsce na małe hrabstwa, by drużyny mogły być – jak w Anglii – ich reprezentantami. Wzmacniają się więzi pomiędzy Anglią a Polską, ponieważ wreszcie angielska reprezentacja krykieta ma szansę wygrać jakiś mecz. Anglia coraz mocniej popiera wejście Polski do Unii Europejskiej. Król wprowadza kraj do Unii i jest witany w Warszawie jako bohater.

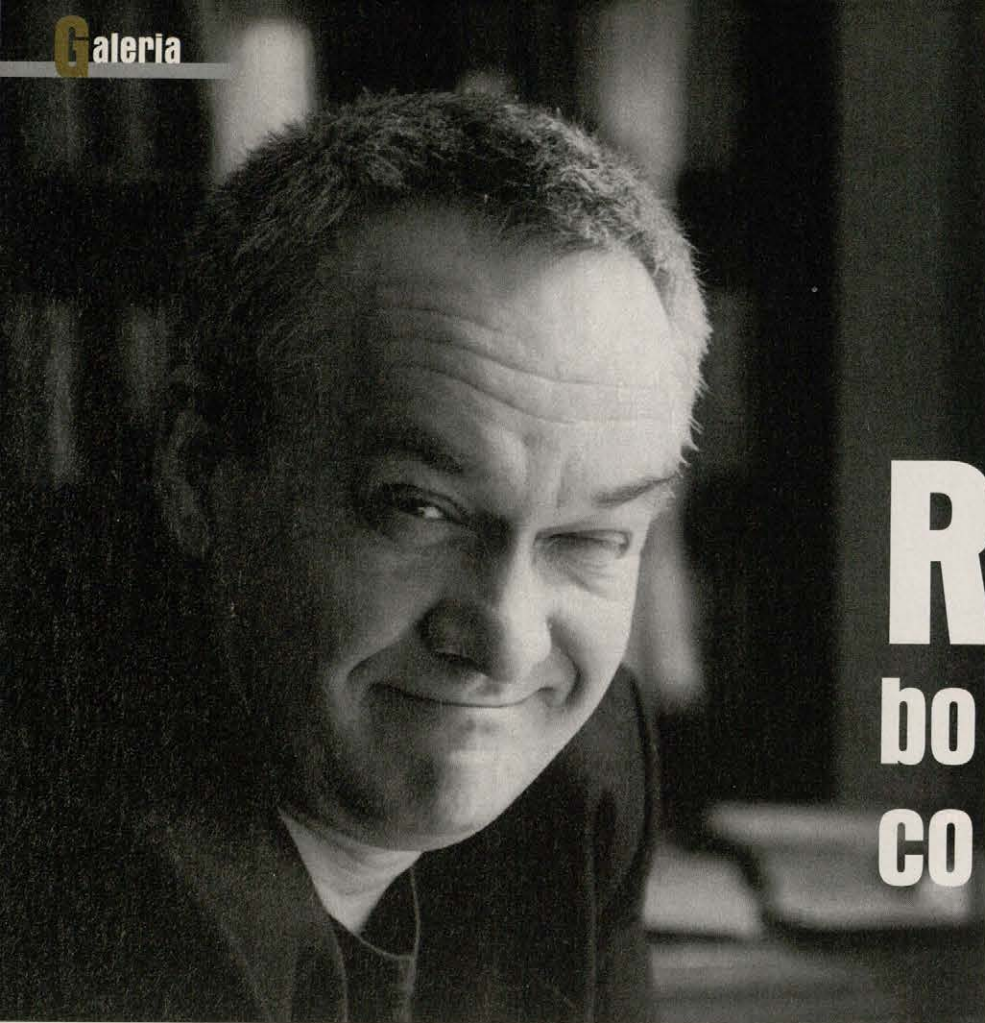
Może nie byłoby tak pięknie. Mogłoby być tak, że król ogłasza dekret, według którego wszystkie umywalki w kraju musiałyby być wymienione na angielskie, czyli z dwoma kranami (jeden z ukropem, drugi z lodowatą wodą). Złośliwcy zapewne wytykaliby mu to, że intratny kontrakt na wymianę umywalk wygrała firma jego szwagra Zenka, z którym prowadził w Sosnowcu zakład. Co gorsza,

mógłby nakazać, że wszystkie puby mają być zamykane o godzinie 23 z ustawowym 20-minutowym *drinking-up time*, kiedy klienci mają dokończyć swoje piwo, które zresztą może już być serwowane tylko ciepłe. Zapewne wybuchłaby wtedy rewolucja.

Może więc lepiej nie naśladować Anglii i zostawić wszystko tak, jak jest. W końcu nam, Angolom, żyje się tutaj całkiem dobrze, a bez *fish and chips* można sobie jakoś poradzić. A już sam Stasiak na pewno by się nie obraził, gdyby zostało tak, jak jest. Dopiero co znalazł w Sosnowcu pracę, a wciąż spłaca kredyt mieszkaniowy. Po co mu jeszcze taki kłopot na głowie?

Christiaan van Lierop

Autor jest emigrantem. Ale nie jest mu z tym łatwo.



Zanim wybieriecie się
do krakowskiej „Mangghi”
na wystawę Andrzeja Krauzego
(6 czerwca – 31 sierpnia 2002),
zobaczcie nowe, niepublikowane
rysunki artysty
do tekstów Franza Kafki

Rysuję, bo nie wiem, co z ręką zrobić

Z ANDRZEJEM KRAUZEM
ROZMAWIA MARCIN BARAN

MARCIN BARAN: Czy są wydarzenia, których nie skomentowałby Pan rysunkiem?

ANDRZEJ KRAUZE: Nie, nie ma takich wydarzeń, tyle że to nie mogą być rysunki satyryczne. Po 11 września zrobiłem kilka rysunków, które były bardzo dobrze odebrane. To sprawa gustu, ale nie lubię na przykład rysować na temat seksu, bo jest w tym jakaś łatwizna i głupota.

Ile rysunków wyszło spod Pańskiej ręki w ciągu 32 lat kariery?

– Pewnie z siedem – osiem tysięcy.

A ile teraz, będąc rysownikiem rozchwytywanym, musi Pan stworzyć rysunków tygodniowo?

– 10 – 15, w zależności od liczby zamówień. Plus rzeczy, które robię bardziej dla siebie.

To robota wciąż ręczna, ale już prawie taśmowa.

– Ja muszę rysować, to jak nawyk. Rysuję, bo inaczej nie wiedziałbym, co z ręką zrobić.

Istnieje grupa polskich rysowników, którzy debiutowali w prasie polskiej na początku lat 70. ubiegłego wieku, wszyscy mają na imię Andrzej (Czeczot, Dudziński, Mleczko, no i Pan), i których można nazwać „nieprzyjemnymi” – rysowani przez nich ludzie są brzydki i brzydko się zachowują. Za kolegów nie może Pan oczywiście odpowiadać, ale czy Pan nie lubi ludzi?

– Ja ludzi bardzo lubię, ale kiedy debiutowaliśmy 30 lat temu, to w powietrzu wisiło coś takiego, co kazało rysować niechlujnie i nonszalancko, przeciwko powszechnie praktykowanemu stylowi uładowanemu.

Oglądając Pańskie rysunki sprzed lat i te rysowane współcześnie, widzę, że zmieniły się stylistycznie. Pierwsi Pana bohaterowie byli typowymi peerelowskimi aparatczykami niższego szczebla – na głowie kapelusz, w ręce teczka i tępo-buraczany wyraz twarzy. Dzisiaj Pański bohater jest rysowany ostrzejszą, „kubistyczną” kreską i ma w sobie coś eleganckiego. Skąd ta zmiana?

– Cóż, wyjechałem z Polski w roku 1979, ale do czasu wprowadzenia stanu wojennego wciąż tutaj publikowałem, doskonaląc niejako ten prze-

śny typ rysunku. Kiedy jednak zdecydowałem się na stałe pozostać w Anglii i rozpocząć karierę artysty międzynarodowego – musiałem zacząć się zmieniać. Musiałem, bo z wszystkich stron zacząłem słyszeć, że moje prace są zbyt „wschodnioeuropejskie”, to znaczy ponure i odpychające. Prywatnie śmiano się z nich, ale nikt nie odważył się wprowadzić ich na rynek, bo ten styl nie był popularny.

Znalazłem się w strasznej sytuacji i życiowo, i finansowo. Jako redaktor prywatnej psychoterapii powstały wtedy ilustracje do Kafki.

No, ale w końcu moje rysunki zaczęły się ukazywać w prasie zachodniej, na przykład w „Guardianie” i zauważyłem, że niejako samoistnie mój styl zaczął się zmieniać, stał się bardziej poetycki. Moja terazniejsza prosta, wyrazista krecha bierze się też pewnie stąd, że nie mam już 20 lat i chcę swój rysunek uprościć, uczynić bardziej uniwersalnym.

A ma Pan swojego mistrza kreski wzorcowej?

– Z perspektywy lat mogę powiedzieć, że kimś takim jest Goya, jego cykl „Okropności wojny”. Nie widać może tego w moich rysunkach prasowych, ale na pewno jest tego ślad w ilustracjach do opowiadań Franza Kafki.

Jest Pan znany przede wszystkim jako autor rysunków humorystycznych. Ma Pan sposób na wymyślanie dowcipów?

– Pomysły przychodzą do głowy automatycznie i trudno powiedzieć, skąd się biorą. Nigdy nie siedziałem w kawiarni z serwetką w pogotowiu na wypadek, gdyby jakiś koncept przyszedł mi na myśl. Moje wcześniejsze polskie rysunki wiele zawdzięczały wydarzeniom, temu, co kto powiedział lub zrobił. Często przekręcałem cytaty z oficjalnych wystąpień, z tytułów gazetowych. Zmiana jednego słowa lub umieszczenie wypowiedzi w innym kontekście sprawiała, że już powstawał żart.

Rysując dla czasopism w Anglii w ogóle przestałem używać słów, bo angielski nie jest moim pierwszym językiem i nie czuję się w nim pewnie. A ponieważ, jak już wspominałem, interesuje mnie prostota, zmierzam ku temu, aby mój rysunek nie wymagał już żadnego podpisu. ■

FOT. TOMASZ ŚWIDERA



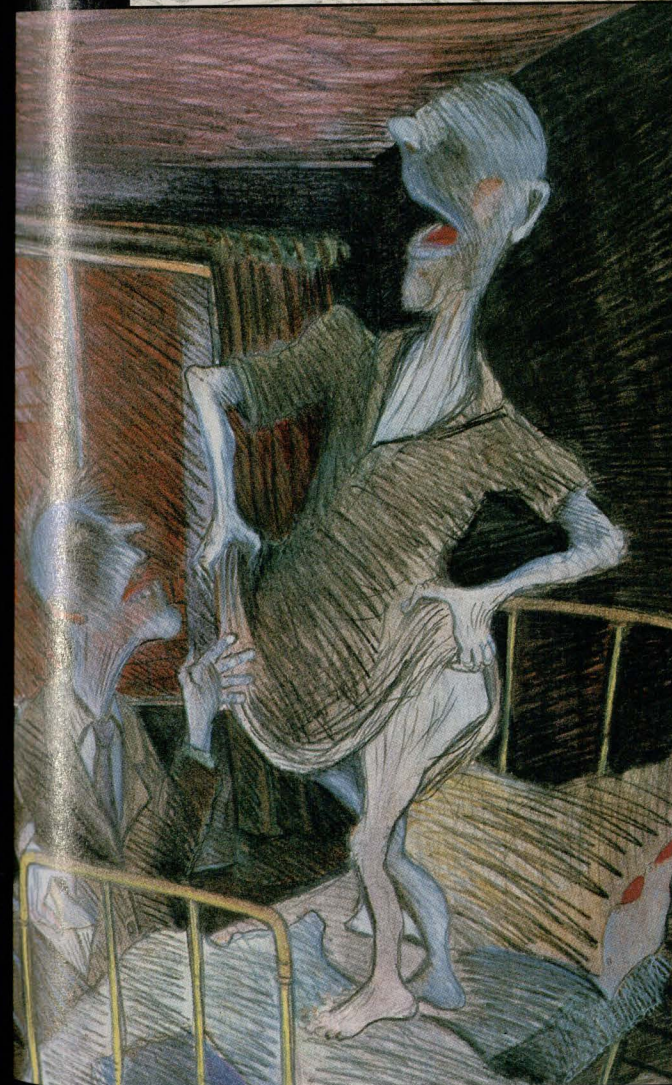
„Przed prawem
stoi strażnik.
Do strażnika
zgłasza się
człowiek ze wsi
i prosi
o pozwolenie
wejścia
do prawa”.
PRZED PRAWEM

4.12.1984



„...tak że leżąc
w ciemnościach
własnego pokoju
i z pokoju rodzinnego
niewidoczny,
mógł patrzeć na całą rodzinę
siedzącą
przy oświetlonym stole...”.
PRZEMIANA

„O wiele
milsi
byli mu
dozorcy,
którzy siadali
przy klatce,
nie
zadawali
się
mętym
nosnym
światłem
sali,
lecz
kierowali
na niego
światła
elektrycznych
lampek
osłonkowych,
których
łostaczkał im
impresario”.
GŁODOMÓR



„Ponieważ podniosła spódnicę
– zaczął pisać ojciec – ponieważ podniosła tak spódnicę,
obrzydliva gęś – i aby to pokazać, podniósł koszulę tak wysoko,
że można było zobaczyć na jego udzie bliznę z lat wojennych”.
WYROK



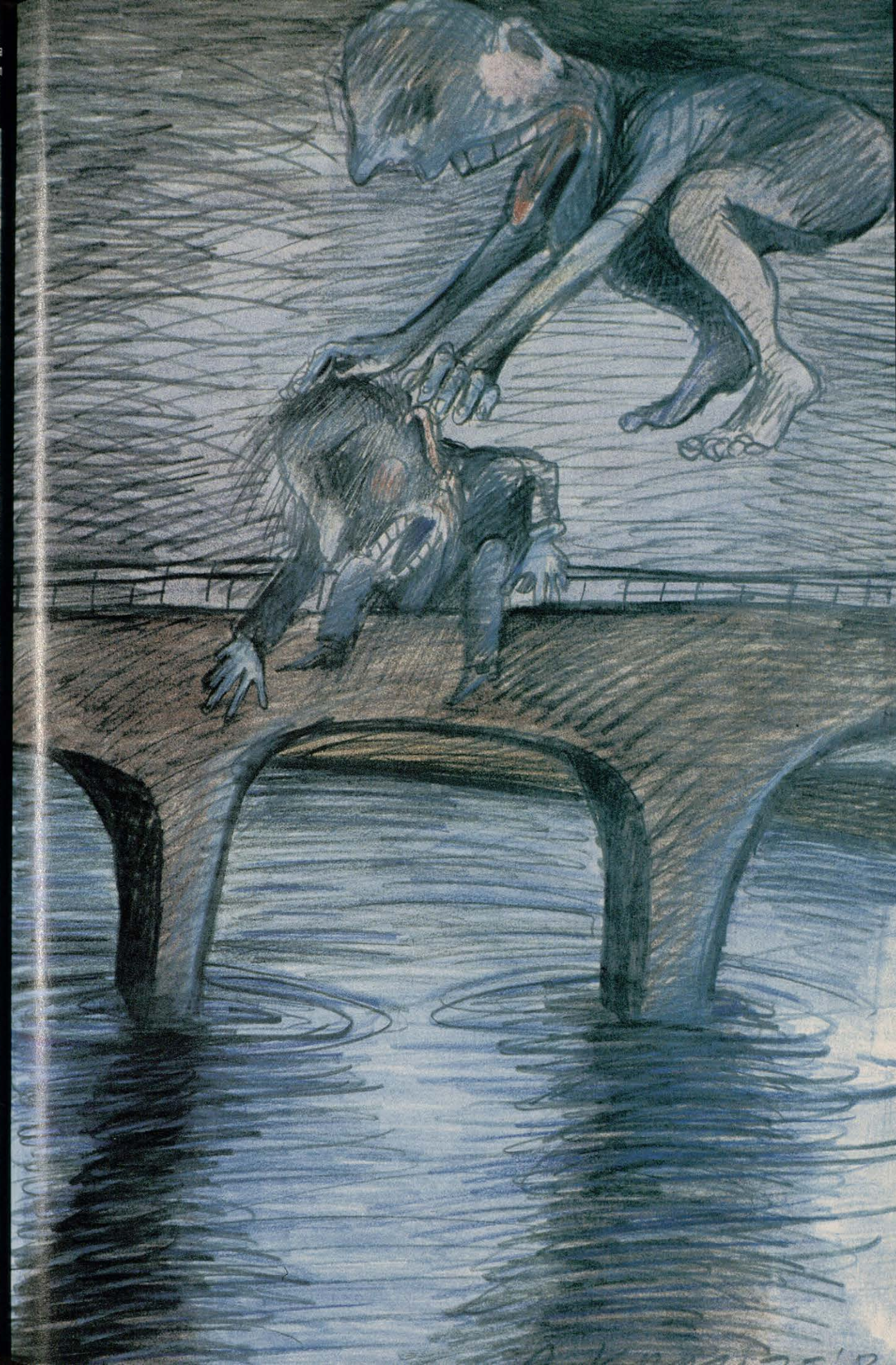
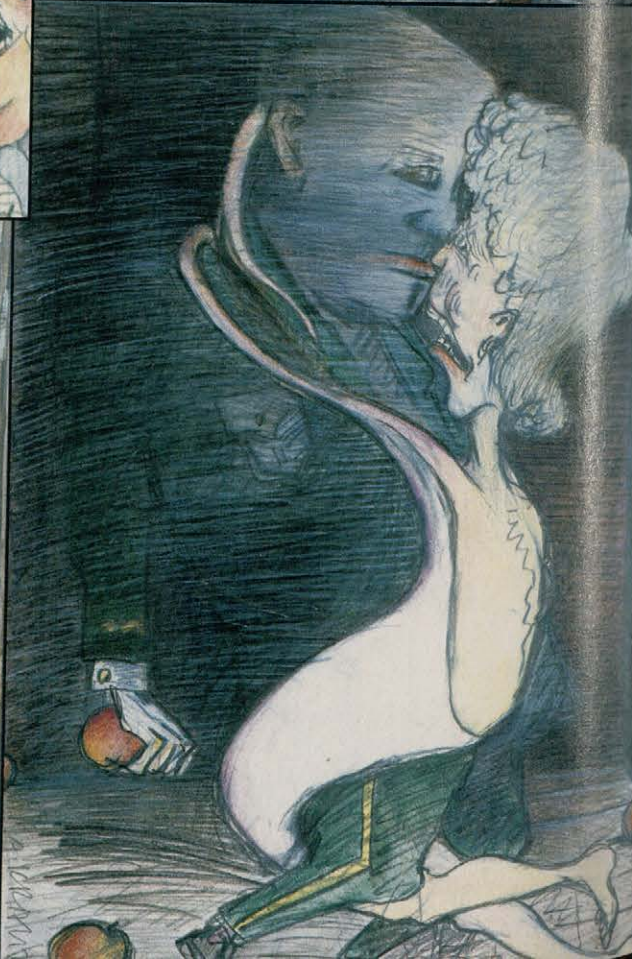
„Wciąż jeszcze
głodujesz?
– zapytał
dozorca
– kiedyż
wreszcie
przestaniesz”.
GŁODOMÓR

„Cóż tu pisać
człowiekowi,
który wyraźnie
zamknął się
w sobie,
którego
można
żałować,
ale nie można
mu pomóc”.
WYROK



„Rozbierzcie go,
to będzie leczył,
Nie będzie zaś,
to go zabijcie.
To tylko lekarz,
to tylko lekarz”.
LEKARZ WIEJSKI

„...ponieważ jest tak właśnie, człowiek z galerii składa
głowę na balustradzie i, pogrążając się w końcowym
marszu jak w ciężkim śnie, płacze, nie wiedząc o tym”.
NA GALERII



„Drodzy
rodzice,
zawsze was
przecież
kochałem
– i runął
w dół”.
WYROK

Fragmenty przekładów
Juliusza Kydryńskiego
pochodzą z wydania
książkowego „Wyrok”
PIW, Warszawa 1975

Odcięta od świata



Kiedy wrócą pielgrzymi do Bazyliki Grobu Pańskiego?

W konsekwencji intifady zostałam więźniem we własnym kraju, bo nie latam samolotami

Naprawdę chciałam, próbowałam, poddałam się nawet kuracji hipnotycznej. Wszystko na nic. Ostatecznie postanowiłam pokochać swoją fobię i przestać z nią walczyć. Od lat pokonuję trasę Izrael - Europa najpierw promem do Grecji, a potem była różnie - jechałam już autobusami, pociągami, TIR-em, a nawet okazją z powracającymi z Libanu żołnierzami z polskiej jednostki sił pokojowych ONZ. Dzięki tym podróżom zwiedziłam kawał Europy.

W Wiedniu byłam po raz pierwszy w życiu jakoś tak nad ranem. Nie wiem dlaczego, ale musiałam przejść z jednego końca miasta na drugi. Wędrowałam pu-

stymi, pięknymi ulicami z ciężkim plecakiem, zadzierając głowę do góry, żeby obejrzeć fasady domów. Fasad nie pamiętam, natomiast mam pod powiekami obraz długich, pustych ulic, z fruwającymi z jednej strony na drugą kawałkami starych gazet.

Innym razem, z moim mniej więcej 4-letnim wówczas synkiem, puściłam się pociągiem przez ogarniętą wojną Jugosławię. Wiem, że było to szaleństwo, nie najlepiej świadczące o moim rozumie, ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Podróż z Aten do Budapesztu trwała, bagatela - 72 godziny. Jechaliśmy wagonem międzynarodowym, który był po drodze podczepiany do różnych pociągów. Już przy wyjeździe z Grecji kierownik pociągu zamknął nas w przedziale na kłódkę i łańcuch, sugerując dodatkowo, że będzie lepiej, jak zasłonimy okna.

To była najgorsza podróż mojego życia. Gdzieś na jugosłowiańskiej prowincji zatrzymano pociąg i kazano wszystkim

pasażerom zapłacić po 60 dolarów „od głowy” - do dziś dnia nie wiem za co.

Najmilej wspominam podróż z polskimi żołnierzami ONZ. Nawet nie pamiętam, które jechaliśmy, wiem tylko, że gdzieś się potężnie zgubiliśmy. Wszystkim panom bardzo spieszyło się do domów i postanowili pokonać trasę Grecja - Polska jednym ciągiem, bez zatrzymywania się na nocleg. W końcu, już gdzieś na terenie Czech albo Słowacji, wysiadłam i zagroziłam, że jeśli kierowcy się nie prześpią przynajmniej dwie godziny, to dalej nie iadę. Kiedy dotarliśmy do przejścia granicznego w Chyżnem, śiapił deszcz, była 5 rano, wszyscy ciężko zaspani, ale i tak było to dla nas najpiękniejsze miejsce na ziemi. Byliśmy szczęśliwie w Polsce.

Z Izraela do Grecji pływał jeszcze do niedawna dwa razy w tygodniu prom - bardzo stary, remontowany co kilka lat, ale sprawny. Był dla mnie jedyną drogą do Europy. Kilka dni temu zaczęłam planować kolejną wyprawę do Polski i nagle - ku mojemu przerażeniu - odkryłam, że prom przestał kursować i nikt nie wie, kiedy połączenie zostanie wznowione. W biurze podróży powiedziano mi, że w związku z brakiem pielgrzymów do Ziemi Świętej i kompletnym załamaniem turystyki cyprijski armator zawiesił rejsy do końca roku 2002.

Jedyna linia morska, jaka mi pozostała, to prom przez Istanbuł do Odessy, ale jakoś nigdy nie miałam ochoty na podróż drogą lądową przez Ukrainę. Poczułam się odcięta od świata - dosłownie i w przenośni. Wszystko wskazuje na to, że resztę lata spędzę w kibucu nad jeziorem Tyberiadzkim lub w Ejłacie na wybrzeżu Morza Czerwonego. Co za męka...

Pozostaje mi więc apelować gorąco do pielgrzymów - przybywajcie! Może, gdy będzie was więcej, wznowione zostaną połączenia z Europą?

ANNA LIBROWSKA



Zyskowna dysleksja

OLGA WOŹNIAK

Największe tuzy światowego biznesu mają kłopoty z czytaniem i pisanem. Gubią się w mieście. Szkołę wspominają jak koszmar. Dzięki temu są geniuszami

Ile osób ma szansę na zarobienie miliarda dolarów? Statystyki mówią, że 10-15 procent. Tyłu spośród nas cierpi na dysleksję. Nie widać związku?

Najnowsze badania amerykańskich naukowców dowodzą, że dysleksja to znak, iż w naszym mózgu drzemie niezwykły talent. To nie upośledzenie. To dar. Od nas zależy, czy będziemy umieli go wykorzystać.

Miliard w rozumie

W jednym z ostatnich numerów amerykańskiego tygodnika „Fortune” opisano przypadek czterech ludzi cierpiących na dysleksję. Nie mieli łatwego życia. Jednego z nich za złe stopnie i roztargnienie na lekcjach nauczyciel karał kuksańcami. Zrezygnowany rzucił szkołę, gdy skończył 16 lat. Drugi oblał poprawkę z angielskiego i groziło mu wyrzucenie z college’u. Trzeci bał się, że nigdy nie dostanie świadectwa ukończenia szkoły. Czwarty nauczył się czytać dopiero w trzeciej klasie. Pomógł mu w tym komiks - ilustracje sprawiły, że zaczął rozumieć słowa. O kim mowa?

Pierwszy z czwórki nieudaczników to brytyjski miliarder Richard Branson. Twórca znanej na całym świecie wytwórni płytowej Virgin Records, założyciel linii lotniczych Virgin Atlantic Airlines. W odpowiedzi na pytanie: „Kogo wybrałbyś na prezydenta, gdyby upadła mo-

cesu antymonopolowego końca XX wieku, w którym rząd amerykański i 20 stanów oskarżali firmę Microsoft, że wykorzystywała monopol na rynku systemów operacyjnych do zdobywania innych rynków. Boies reprezentował oskarżenie. Wygrał.

Choć wymienieni panowie realizują się w zupełnie innych dziedzinach biznesowego świata, łączy

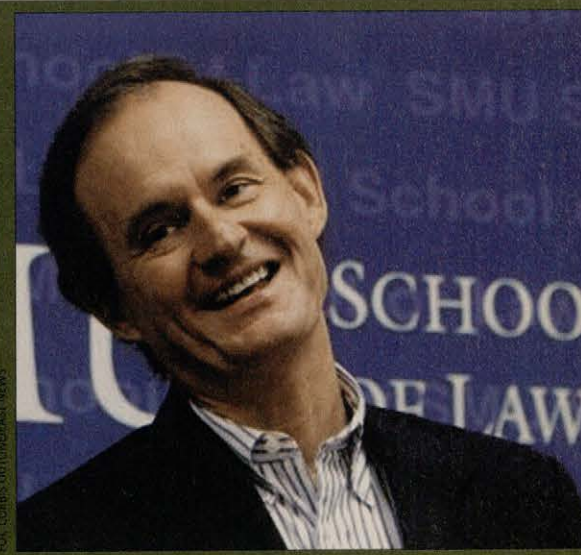
Zabłąkane neurony

Czym w zasadzie jest dysleksja? Chorobą, która zapewnia w przyszłości powodzenie w interesach i bogactwo?

„Głupek. Opóźniony w rozwoju. Idiota”. Dzieci z dysleksją często to słyszą. Badania psychologów wykazują, że blisko dwie trzecie dorosłych (w tym wielu nauczycieli)



Richard Branson - właściciel Virgin Records i linii lotniczych Virgin Atlantic Airlines



David Boies - prawnik. Wygrał z Microsoftem w głośnym procesie antymonopolowym

narchia?”, 80 procent Brytyjczyków wskazało właśnie jego.

Drugi to Charles Schwab - potentat na rynku elektronicznych firm brokerskich. Schwab rozporządza portfelem internetowych klientów o wartości 81 miliardów dolarów.

Trzeci to John Chambers, szef Cisco Systems, największego na świecie producenta sprzętu do tworzenia sieci komputerowych. Od dłuższego czasu o szefie Cisco mówi się nie inaczej jak „Pan Internet”. Uważany jest za jednego z największych wizjonerów rozwoju Sieci.

Czwartym „nieukiem” jest David Boies - wzięty prawnik, najbardziej znany z największego pro-

ich jedna cecha: wszyscy są dyslektykami.

Tak samo jak amerykański multimiliarder Craig McCaw, twórca największej amerykańskiej sieci telefonii komórkowej, którego majątek ocenia się na nieco powyżej czterech miliardów dolarów, John Redd, który zrobił z Citibanku jeden z najbardziej liczących się banków na świecie, Bill Hewlett - współzałożyciel firmy Hewlett-Packard. A także Nelson Rockefeller (tego chyba nie trzeba przedstawiać) i Thomas J. Watson Jr. - były szef IBM. A to z pewnością nie wszyscy dyslektycy na biznesowym olimpie.

wciąż uważa dysleksję za rodzaj ograniczenia umysłowego.

Dysleksja nazywana rozwojową to problemy z nauką płynnego czytania. Często wiąże się z trudnościami z pisanem wyrażającymi się uporczywym popełnianiem błędów ortograficznych, czyli dysortografią.

Jakie są przyczyny tych przypadłości? Lekarze chętnie poszukują ich jeszcze w mrokach naszego życia płodowego. Niektórzy naukowcy podejrzewają, że nie bez znaczenia są tu też nasze geny. Dysleksja jest bowiem często przypadłością rodzinną. Najnowsze odkrycia amerykańskich naukowców potwierdzają te podejrzenia. Dzięki

rezonansowi magnetycznemu zauważono, że objawy dysleksji są sygnałem, iż mózgi dotkniętych nią osób różnią się budową od mózgów zwykłych ludzi. Kłopoty z pisaniem i czytaniem to nie jedynie tego efekt. Drugi to... geniusz.

Niezdolny idiota

Prof. neurologii Glen Rosen z Uniwersytetu w Harvardzie na podstawie przeprowadzonych przez siebie badań uważa, że u dyslektyków określone neurony w mózgu nie zawsze znajdują się tam, gdzie powinny. Takie zjawisko nazywa się ektopią.

Ektopia (gr. *ektópios* – daleki, odległy od czegoś) to, najogólniej

w tylnej części mózgu. U dyslektyka w czasie literowania czynne są głównie części przednie. Czy neuroprzewodowały z tyłu do przodu? I o co po drodze zahaczyły? Czy dzięki nowym połączeniom, jakie wytworzyły, dyslektyk będzie genialnym matematykiem, czy artystą? Czy mimo że nie będzie umiał czytać, stworzy imperium finansowe albo genialny obraz?

Wiele wyrozumiałości dla dukaających z trudem pierwszoklasistów! Wyrosną z nich niezwykli ludzie.

Jeszcze w czasach, gdy nasi rodzice chodzili do szkoły, dysleksja nie była nazwana po imieniu. Za przypadłość niezwiązaną z rozwojem intelektualnym dziecka

ston Churchill (we wspomnieniach pisał: „Czas szkoły to czas ciemności, czarna dziura na mapie mojej życiowej podróży”), Tomasz Edison (nigdy nie przyswoił sobie zasad ortografii, miał też problemy z arytmetyką) czy August Rodin (słynny rzeźbiarz w dzieciństwie postrzegany był jako absolutnie niezdolny idiota; przez całe życie nie mógł opanować ortografii i matematyki).

Piwo za rozprawkę

Nie jest to więc chyba przypadek, że największe tuzy światowego biznesu cierpią na dysleksję. Wszystko wskazuje na to, że choć stanowi ona pewne ograniczenie,

założył fundację pomagającą rodzicom i dzieciom z problemami z czytaniem i pisaniem.

Twierdzi też, że jego ułomność nauczyła go lepiej niż cokolwiek innego pokory i współżycia z innymi. – Musiałem namawiać kolegów, by pisali za mnie wypracowania. Ale przysłużyła mi przysługa. Płaciłem im za piwo. Często było to poniżające – wspomina.

– Nigdy nie poniżam ludzi, bo wiem, co to za uczucie – potwierdza dyslektyk Richard Branson. Podobnie myślą inni biznesmeni. Może właśnie dlatego Cisco i Schwab są w czołówce firm przyjaznych pracownikom.

Dysleksja osłabia także zryciem. Wszak wypełnia ono całe

– mówi. I wierzy, że to właśnie umożliwiło mu stworzenie przełomowych teorii – odkrycie, jak zbudowane są przeciwciała, a potem wymyślenie pierwszej maszyny, która umiała określać kolejność aminokwasów – cegiełek budujących białko. Dzięki niej możliwe było zbadanie ludzkiego genomu.

– Nie myślę, że dysleksja to brak. Nie umiem tego bliżej wyjaśnić, ale dla mnie to tak, jakbym miał CAD-a [program do komputerowego wspomagania projektowania – *computer aided design* – przyp. red.] w swoim umyśle. Założę się, że dyslektycy zajmujący się biznesem mają podobnie. Myślę, że widzą w głowie wykresy i mapy

Na początku istnienia Sieci nikt nie brał jego słów poważnie. Teraz wszystko, co powie, jest traktowane niemal jak objawienie.

Podobnie jak John Chambers, Charles Schwab w porównaniu ze zwykłymi ludźmi myśli na wyższych obrotach. – Wiele razy widziałem rozwiązanie czy syntezę jakiegoś problemu inaczej i szybciej niż inni. Jestem na mecie pierwszy.

Dyslektycy łamią ogólnie przyjęte reguły rozumowania. Może zresztą dlatego, że nigdy ich nie rozumieli. Tworzą własne. Craig McCaw nigdy nie mógł pojąć powszechnego przekonania, że telefony komórkowe się nie przyjmą, bo ludzie przywykli do stacjonar-

wszystkie istotne fakty zapamiętuje. Dzięki temu zyskuje przewagę nad innymi prawnikami, którzy często podczas swojej pracy posilkują się notatkami. On, zamiast grzebać w papierach, wykorzystuje ten czas na obmyślenie taktyki, improwizację.

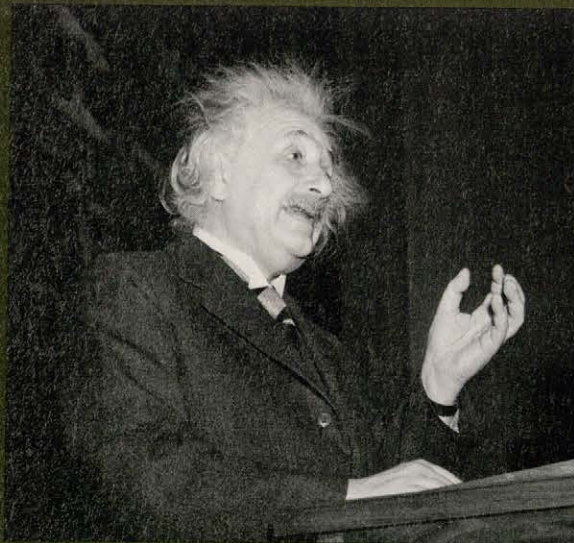
Inne zmysły

Tylko przypadek sukcesu Richarda Bransona zdaje się nie mieć związku z jego dysleksją. Branson ma bardzo słabą pamięć. Ważne rzeczy zapisuje długopisem na dłoni. Nie używa komputera. Jest fatalny z matematyki. – Nigdy nie myślałem o sobie, że jestem biznesmenem. Na czym więc polega mój

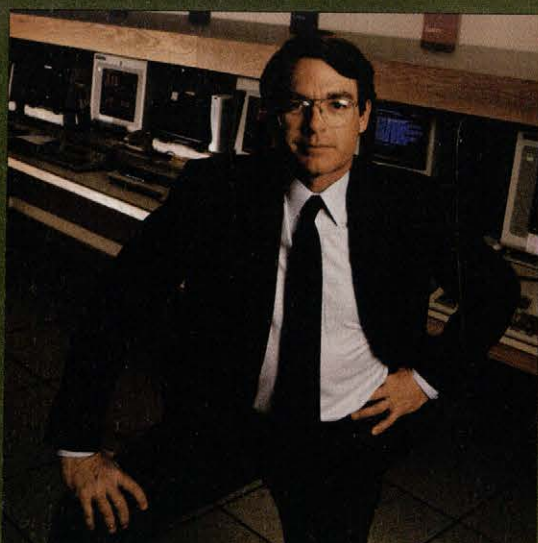
Dyslektycy nie lubią czytać. Zwłaszcza długich, zawiłych tekstów. Wolą streszczenia. Każą je robić swoim pracownikom. McCaw przyznaje, że czytanie i pisanie pochłania wiele jego uwagi. Wyławia maksimum z tego, co usłyszy.

Także Boies starannie selekcjonuje informacje, które dostaje. Nie wszystko jest warte zapamiętania, a zapisywanie to syzyfowa praca. Zawsze stara się ogarnąć cały problem, nie poszczególne jego części. – Jeśli umiesz od razu dostrzec cel, do którego zmierzasz, łatwiej znajdujesz drogę – uważa.

Wszyscy dyslektycy mają inaczej skonfigurowane umysły. Inaczej myślą, inaczej formułują



Albert Einstein (1879–1955) – jeden z najwybitniejszych fizyków w historii nauki, twórca teorii względności



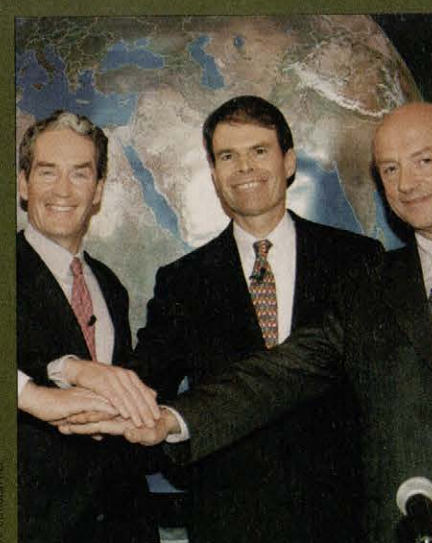
Charles Schwab – potentat na rynku elektronicznych firm brokerskich



John Chambers – szef Cisco Systems, producenta sprzętu do tworzenia sieci komputerowych



Thomas Alva Edison (1847–1931) – genialny amerykański wynalazca, samouk, posiadacz ponad tysiąca patentów



Craig McCaw (w środku) – twórca największej na świecie sieci komórkowej



Nelson Rockefeller (1908–1979) amerykański biznesmen i polityk, wiceprezydent USA (1974–1977), burmistrz Nowego Jorku

mówiąc, wada rozwojowa powstała w życiu płodowym polegająca na nietypowej lokalizacji narządu lub jego fragmentu. U dyslektyka z nieznaną przyczyną wędrują po mózgu komórki nerwowe. Z racji tego, że nie znajdują się tam, gdzie powinny, łączą ze sobą części mózgu, które u zwykłych ludzi nigdy nie bywają połączone. Nie ma też schematu tego procesu. To wyjaśnia, dlaczego nie ma dwóch identycznych dysleksji. Natomiast jedną z konsekwencji może być to, że przy analizie słowa włączają się u dyslektyków inne części mózgu.

„Zdrowy” człowiek poproszony o przeliterowanie jakiegoś wyrazu używa do tego ośrodków leżących

uznawano ją zupełnie niedawno. Boies, Schwab, Chambers, Branson nie wiedzieli, że są dyslektykami, dopóki... ich własne dzieci nie zaczęły mieć podobnych problemów.

Dziś psychologowie umieją już postawić diagnozę. Co więcej, okazuje się, że dysleksja często idzie w parze z ponadprzeciętną inteligencją. Dlatego o dzieciach, które nie są w stanie opanować zasad poprawnego pisania, mówi się: „zdolny, ale leń”. Tymczasem o tym, że umysł dyslektyka mimo swych pozornych ograniczeń może być wybitny, świadczą przykłady ludzi takich jak Albert Einstein (zaczął czytać w wieku dziewięciu lat, zawsze miał trudności z pisaniem), Win-

obdarza swojego „nosiciela” ponadprzeciętnymi zdolnościami.

Charles Schwab miał kłopoty z czytaniem, ale był bardzo dobry z matematyki i nauk przyrodniczych. Był także zdolnym sportowcem. To pozwoliło mu studiować na Uniwersytecie Stanford. Nie było lekko. Nie umiał pisać wystarczająco szybko, by zdążyć uchwycić swoje myśli. Nie mógł notować na wykładach. Był w stanie zapamiętać nie więcej niż trzy słowa naraz we właściwej kolejności. Jeszcze jakiś czas temu Schwab nie przyznawał się do swojej słabości. Jednak wspomnienia związane ze szkołą były dla niego tak straszne, że niedawno wraz z żoną Helen

szkolne życie. Towarzyszy dyslektykom tak często, że z czasem wchodzi im w krew. – Zawsze oczekujemy podkreślonej piłki – mówi Schwab.

Myślenie w 3D

Jako dzieci wstydzi się swojej ułomności. Starali się ją ukrywać. Jako dorośli dostrzegli, że nie oznacza ona tylko braku. Daje im też przewagę nad innymi. Z czasem zaczęli ją wykorzystywać w interesach. Z sukcesem. Jak?

Bill Dreyer – biolog i wynalazca – próbował kiedyś opowiedzieć swoim przyjaciółom, jak pracuje umysł dyslektyka. – Moje myśli nie wyrażają się słowami, ale ukazują się jako trójwymiarowe kolorowe obrazy

zmieniających się trendów na rynkach i dzięki temu odnoszą sukces.

Chambers potwierdza: – Podchodzę do problemu inaczej niż reszta ludzi. Bardzo łatwo jest mi przeskakiwać od A do Z w dowolny sposób. Nie muszę posuwać się w rozumowaniu małymi kroczkami. Tworzę sobie w mózgu wielowymiarową szachownicę i gram. Nie w szachy. W biznes. Nie myślę tylko nad jednym ruchem. Jestem w stanie przewidzieć wyniki całej rozgrywki, posunięcia przeciwnika. Widzę kilka możliwych rozwiązań naraz – opowiada.

Nie bez powodu Chambers jest uważany za jednego z największych wizjonerów rozwoju Internetu.

– Dla mnie było to bardzo dziwne myślenie. Jeśli znajdujesz sposób na to, by nie być przywiązany do telefonu półmetrowym kablem, robisz to – uważa.

McCaw jest twórcą pierwszej sieci komórkowej (McCaw Cellular), którą sprzedał AT&T w roku 1994 za 11,5 miliarda dolarów. Teraz razem z Billem Gatesem ma zamiar zbudować wszechświatowy system telekomunikacyjny oparty na 840 satelitach. Dzięki temu Internet ma się stać w przyszłości tak powszechny i naturalny w użyciu jak dziś telefon komórkowy.

David Boies także odwrócił dysleksję na swoją korzyść. Ponieważ ma problemy z pisaniem i czytaniem,

sukces? Interesowało mnie tworzenie rzeczy, z których mogłem potem być dumny. Założyłem na przykład własne linie lotnicze, bo latanie samolotami uważałem za okropne – wyjaśnia. A jednak Branson myśli inaczej niż pozostali ludzie. Inaczej odnajduje potrzebne mu informacje. Słucha, patrzy, dotyka.

– Znajdowanie potrzebnej wiedzy jest dziś dla mnie znacznie łatwiejsze, niż gdy chodziłem do szkoły i wszystko musiałem czytać w książkach – twierdzi McCaw. – Dziś często nie wiem, skąd przychodzą informacje. Wyłapuję strzępy z rozmów, więcej słyszę, więcej pamiętam. Moje zmysły są bardzo wyostrome – mówi.

pomysły. Często potrzebują tłumaczy swoich „dyslektycznych” idei. Zwykle jednak po przełożeniu ich na język zwyczajnie myślących ludzi okazuje się, że są... genialne.

Ortografia to dla ciebie gąszcz zawiśniętych reguł? Otwierając książkę, czujesz się niczym zagubiony podróżnik, którego mapa zaplamiona jest kawą w najbardziej strategicznych miejscach? To znak. Być może masz zadatki na geniusza. Nie zmarnuj szansy, którą daje ci twój niezwykły mózg.

OLGA WOŹNIAK

Inspiracją był dla mnie artykuł Betsy Morris „Overcoming dyslexia” z „Fortune” (nr 10/2002).



Uwaga! Nadlatuje fotograf!

Diabeł tkwi w szczegółach. Anioł widzi całe piękno świata.
Yann Arthus-Bertrand patrzy na glob z perspektywy anioła



Wystawa plenerowa „Ziemia z nieba” to fotograficzny protokół oddający stan naszej planety u progu XXI wieku. Była wcześniej prezentowana między innymi w USA, Francji, Japonii i Niemczech. Do Polski przyjeżdża pod auspicjami UNESCO i prezydentowej Jolanty Kwaśniewskiej. Wystawa będzie otwarta dla zwiedzających od 7 czerwca przez kolejne 18 miesięcy.

Najpierw przyjedzie do Warszawy. Na ogrodzeniu parku Łazienkowskiego i Ogrodu Botanicznego – na odcinku 600 metrów – zawisnie 120 kolorowych zdjęć (120 x 180 cm). Na zimę ekspozycja zostanie przeniesiona do obiektów publicznych – Centrum Giełdowego i na lotnisko Okęcie – a później będzie prezentowana w innych miastach, między innymi w Krakowie, Wrocławiu i Łodzi. Tam powstanie „Mandala Świata”, czyli 30-metrowej średnicy konstrukcja, na której będą porozwieszane fotografie.

Wystawę wszędzie można oglądać bezpłatnie przez całą dobę. W nocy zdjęcia będą oświetlone. Dodatkowo można wędrować „stopami po mapie”. Przygotowano bowiem wielką mapę świata (10 x 20 m) z zaznaczonymi miejscami, gdzie zrobiono zdjęcia. Autorzy pomysłu apelują do zwiedzających: „Aby nie zanieczyszczać planety, prosimy o zdjęcie obuwia przed wyruszeniem w podróż dookoła świata”.

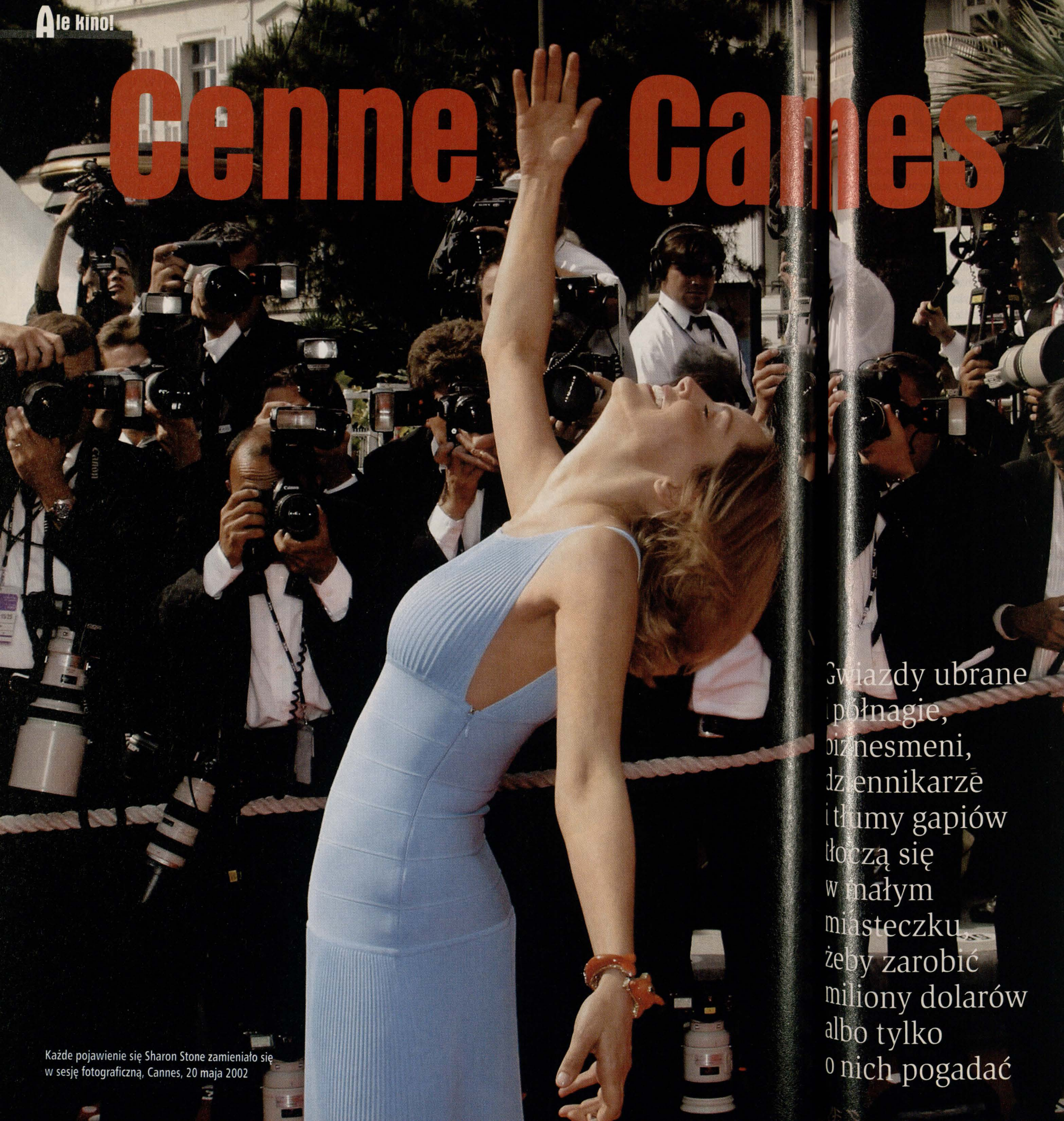
Yann Arthus-Bertrand współpracuje między innymi z „National Geographic Magazine” oraz pismami „Paris Match” i „Life”. Ziemię z lotu ptaka zaczął fotografować na początku lat 90. Jego agencja Altitude stała się wkrótce bankiem zdjęć lotniczych. Artysta odwiedził 76 krajów, spędził trzy tysiące godzin w helikopterze i wykonał z góry sto tysięcy ujęć.

Jego zdjęcia pejzaży, zabytków, miast i ludzi zebrano także w książce „Ziemia z nieba. Portret planety u progu XXI wieku” (wydanie polskie: Świat Książki, Warszawa 2001). Czterokilogramowy album opublikowano w 15 językach. Od września roku 1999 sprzedano ponad 1,5 miliona egzemplarzy.

MONIKA KUCIA

O wystawie „Ziemia z nieba” objętej patronatem między innymi „Przekroju” można poczytać też na stronie www.swiatowid.cc. Więcej zdjęć – www.yannarthusbertrand.com.

Cenne Cannes



Każde pojawienie się Sharon Stone zamieniało się w sesję fotograficzną, Cannes, 20 maja 2002

Gwiazdy ubrane
i półnagie,
biznesmeni,
dziennikarze
i tłumy gapiów
tłoczą się
w małym
miasteczku,
żeby zarobić
miliony dolarów
albo tylko
o nich pogadać

RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI

Lazurowe Wybrzeże jest dla Francuzów tym, czym Floryda dla Amerykanów – rajem dla emerytów, krainą spokojnej i dostatniej starości. Raz do roku spokój galijskich seniorów zakłóca jednak inwazja przyjeźdźnych, jaka towarzyszy Międzynarodowemu Festiwalowi Filmowemu w Cannes.

Podczas 12 majowych dni populacja małego, cichego miasteczka licząca na co dzień 67 tysięcy mieszkańców potraja się. Prowincjonalne Cannes staje się światową stolicą *show-biznesu*, miastem bardziej kosmopolitycznym niż Nowy Jork, bardziej snobistycznym niż Paryż i bardziej zatłoczonym niż Tokio. W samym centrum wyznaczona zostaje zamknięta strefa festiwalowa, na terenie której znajduje się podobny do bunkra betonowy Pałac Festiwalowy, kompleks wystawienniczy Riviera oraz liczne pawilony tworzące tak zwaną wioskę międzynarodową.

Kolorowa segregacja

Strefa funkcjonuje jak prawdziwe miasto w mieście i posiada swoją niezależną infrastrukturę: podziemne parkingi, centrum telekomunikacyjne, zaplecze gastronomiczne, port morski oraz lądowisko dla helikopterów. Co roku przewija się przez nią 35 tysięcy osób, które na festiwal przyjeżdżają z ponad 90 krajów świata.

Aby w tej wieży Babel zaprowadzić porządek, francuscy organizatorzy narzucili festiwalowej społeczności klasowy system segregacji. Każdy uczestnik festiwalu zobowiązany jest nosić swoją kartę akredytacyjną, dzięki której zidentyfikować go można nawet z oddali. Kolor karty jest kluczem, który otwiera jedne drzwi i zamyka inne. Jakakolwiek forma krytyki tych drakońskich reguł może być ukarana banicją.

Festiwalowi dziennikarze, których w tym roku przyjechało do Cannes aż cztery tysiące, podzieleni są na dwa obozy. Do drużyny uprzywilejowanych należą korespondenci telewizji i wielkich dzienników noszący na szyi akredytacje koloru różowego oraz weterani festiwalu afiszujący się kartami koloru białego. Członkowie tego obozu mają pierwszeństwo przy wchodzeniu na pokazy oraz konferencje prasowe, nawet jeśli na miejscu pojawiają się w ostatniej chwili.

Znacznie cięższy jest los dziennikarzy reprezentujących w Cannes tygodniki i miesięczniki, którym na powitanie wręcza się akredytacje w kolorze niebieskim lub, co gorsza, złotym. Żeby wejść na projekcję lub konferencję prasową, muszą wystawać w długich kolejkach, a i tak mają bardzo małe szanse, że uda się im w końcu dostać do środka. Zdaniem Grażyny Torbickiej z telewizyjnej „Dwójki” dobra akredytacja i siła przebiccia są w Cannes bardzo ważne, ale o zawodowym sukcesie na festiwalu decydują przede wszystkim nogi: „W Cannes trzeba się mocno nabiegać, żeby zarezerwować wywiady, zdążyć na konferencje prasowe i zobaczyć jak najwięcej filmów. Zwłaszcza że najciekawsze filmy pojawiają się często

poza konkursem, na imprezach towarzyszących i wyświetlane są w miejscach znacznie oddalonych od Pałacu”. Miejsca, o których mówi Grażyna Torbicka, to między innymi podziemna sala projekcyjna hotelu Noga Hilton, w której prezentowane są filmy wybrane przez Stowarzyszenie Francuskich Reżyserów, oraz sala rezydencji Miramar, gdzie swoją selekcję prezentuje Międzynarodowe Stowarzyszenie Krytyków Filmowych. Dotarcie do tej ostatniej zajmuje około 20 minut marszu wiecznie zatłoczonym bulwarem Croisette.

Ścieżki interesów

Zupełnie innymi ścieżkami kursują festiwalowicze, którzy przyjeżdżają tu robić interesy. Cannes bowiem to nie tylko festiwal, lecz także jedno z największych na świecie targów filmowych, na których operacje finansowe osiąga co roku wartość kilku miliardów dolarów. Jedynie miejsce, w którym szlaki biznesu krzyżują się ze szlakami dziennikarzy, to główne wejście do Pałacu.

Podczas gdy dziennikarz po wejściu do Pałacu udaje się na wyższe poziomy, biznesmeni schodzi na sam dół, gdzie znajduje się wielki celulo-idowy bazar. Handluje się tutaj wszystkimi gatunkami filmów. Na ścianach targowych stoisk plakaty filmów Polańskiego czy Lyncha sąsiadują z tytułami takimi jak „Zabójczy striptiz” czy „Zmutowane tarantule 2”. Co ciekawe, handluje się również filmami, które nie zostały jeszcze nakręcone.

Roman Gutek, który co roku przywozi z Cannes do Polski najciekawsze pozycje kina artystycznego, wyjaśnił mi: „Często decyzję o zakupie filmu musimy podejmować, znając jedynie scenariusz i reżysera. To ryzykowne przedsięwzięcie, ale takie są prawa rynku. W przypadku produkcji niezależnych wyłożone przez dystrybutorów fundusze są często niezbędne, by film w ogóle mógł powstać”.

Wśród uczestników targów także panuje określona hierarchia. W najlepszej sytuacji są posiadacze karty opatrzonej fioletowym paskiem z napisem *buyer* (ang. kupiec). Karty takie otrzymują osoby, które w swojej firmie bezpośrednio odpowiadają za nabywanie filmów. Ścieżka *buyera* usłana jest płatkami róż. Na każdym kroku oczekuje go ciepły uśmiech hostessy, szklaneczka szampana bądź zaproszenie na koktajl czy przyjęcie organizowane przez firmy, dla których każdy *buyer* jest potencjalnym klientem.

Choć niezwiązani zawodowo z branżą filmową przeciętni kinomani wykluczeni są z festiwalowej społeczności, co roku na Lazurowe Wybrzeże ściągają ich tysiące. Najbardziej wytrwali spośród nich godzinami wyczekują za ogrodzeniem naprzeciwko wejścia do Pałacu, aby choć przez kilka minut z oddali móc poprzyglądać się plecom swoich idoli. Inni przemierzają Croisette tam i z powrotem z nadzieją, że los się do nich uśmiechnie i wpadną na kogoś znanego. Faktem jest, że w Cannes gwiazdy można spotkać nawet w najbardziej nieoczekiwanych miejscach: Sandrę

Bullock w sklepie spożywczym, a Jima Jarmuscha w monopolowym. Na Croisette najłatwiej spotkać jednak gwiazdy porno, które przyjeżdżają tu na organizowane w tym samym czasie co festiwal filmowy największe wydarzenie w ich branży, jakim jest rozdanie nagród Hot d'Or.

Pieniądze, pieniądze, nazwiska

Według opublikowanego w ostatnim numerze magazynu „Premiere” sondażu instytutu IPSOS słowami, które najczęściej kojarzą się z festiwalem w Cannes, nie są wcale kino ani film, tylko pieniądze i gwiazdy. Organizatorzy festiwalu doskonale zdają sobie sprawę z tego, że defilada gwiazd jest najlepszym sposobem na przyciągnięcie

Wybór Sharon okazał się trafny. Aktorka ustanowiła nowy rekord w długości pokonywania kilkunastometrowego czerwonego dywanu: przed jedną z projekcji przechadzała się po nim, pozując fotoreporterom, przez ponad 12 minut. Co wieczór przed Pałacem pojawiała się w nowej, prowokującej kreacji i, co najważniejsze, bez jakichkolwiek oznak bielizny pod spodem.

Cannes to miejsce, do którego przyjeżdża się zarówno oglądać, jak i być widzianym. Najlepszą ilustracją tej dewizy są wystawne przyjęcia organizowane na prywatnych plażach wielkich hoteli lub w wynajmowanych specjalnie na te okazje luksusowych rezydencjach albo na gigantycznych jachtach. Na przyjęciach roi się od gwiazd, serwowane są wykwintne dania, a szampan leje się litrami. Dla jednych są one okazją do odpoczynku, inni traktują je jako część swojej pracy.

Gdzie jest realny świat?

Podczas corocznego przyjęcia magazynu „Vanity Fair” w najbardziej ekskluzywnej rezydencji Riwiery Francuskiej, legendarnym Hôtel du Cap, aktorka Juliette Binoche wyznała mi, że na przyjęciach pokazuje się z obowiązku: „Te przyjęcia to jakaś paranoja. Czy ci wszyscy ludzie nie widzą tego, w jakim świecie my żyjemy? Najpierw wszyscy oglądamy i okłaskujemy na stojąco filmy opowiadające o wojnie, społecznie zaangażowane filmy Kena Loacha czy opowiadające historie prostych, ubogich ludzi filmy Mike’a Leigh, a potem rozbijamy się po elitarnych przyjęciach w luksusowych posiadłościach, na które wstęp mają tylko sławni i bogaci. To przecież szczyt hipokryzji!”

Binoche dotknęła tutaj samego sedna sprawy – schizofrenii, na jaką cierpi canneński festiwal, który jest zarazem najdosłowniejszym świętem kinematograficznej sztuki i największym na świecie targowiskiem próżności. Do kina zwykle wybieramy się po to, by pomarzyć, by zapomnieć o pospolitości życia. W Cannes jest na odwrót. W tym sztucznym, przypominającym scenografię amerykańskiego serialu światku filmy są jedyną rzeczą pozwalającą utrzymać jakikolwiek kontakt z rzeczywistością. Ten paradoks dało się w tym roku odczuć wyjątkowo mocno, ponieważ w oficjalnej selekcji od dawna nie znalazło się tak wiele filmów zaangażowanych politycznie, poruszających najpoważniejsze problemy współczesnego świata.

W konkursie obok opowiadającego o początkach Państwa Izrael filmu Kedma pojawiła się „Boska interwencja” ukazująca warunki życia w dzisiejszej Palestynie. Aleksander Sokurov w swoim 90-minutowym filmie nakręconym w jednym ujęciu poruszył problem kryzysu rosyjskiej kultury i tożsamości, a Marco Bellocchio w krytyczny sposób spojrzał na kondycję Kościoła katolickiego.

„Ten festiwal jest polityczny, ale w dobrym sensie – powiedział mi Tadeusz Sobolewski, kry-

tyk „Gazety Wyborczej” – ponieważ nie trzyma żadnej strony. W przeciwieństwie do Oscarów jest otwartym forum, na którym zaistnieć może każdy dobry film, bez względu na pochodzenie”. Polityczne zaangażowanie większości konkursowych filmów nie sprawiło większych kłopotów aż do dnia, w którym trzeba było je ocenić i wybrać zwycięzcę. Jurorzy zareagowali politycznie, przyznając dwie dodatkowe nagrody specjalne. Pierwszą, urodzinową, nagrodę 55. festiwalu otrzymał Michael Moore za jedyny w historii konkursu o Złotą Palmę film dokumentalny, „Bowling for Columbine”, w którym Moore kwestionuje prawo do posiadania broni, okazał się również surową krytyką amerykańskiej polityki zagranicznej (w jednej z sekwencji autor zestawia zagraniczne interwencje Stanów Zjednoczonych, kończąc tę wyraźnie tendencyjną sekwencję panoramą Manhattanu z dwoma płonącymi wieżami). Drugą specjalną nagrodę jury otrzymał palestyńczyk Elia Suleiman za wspomnianą „Boską interwencję” (notabene nagrodzoną również przez międzynarodowych krytyków zrzeszonych w FIPRESCI).

Niespodziewanie Złota Palma, główna nagroda festiwalu tradycyjnie przyznawana skromnym filmom autorskim, przypadła Romanowi Polańskiemu. Jego „Pianista” to bez wątpienia wielkie kino, ale trudno doszukać się w nim charakterystycznego stylu autora filmów takich jak „Dziecko Rosemary” czy „Chinatown”. Grand Prix otrzymał natomiast faworyt publiczności i krytyki Fin Aki Kaurismäki za „Człowieka bez przeszłości”, najmniej polityczny film tegorocznego festiwalu z ciepłym humorem opowiadający o bohaterze, który utracił pamięć po pobiciu.

Bez skandalu ani rusz

Jak co roku w Cannes nie zabrakło również skandalu obyczajowego. Od kilku lat organizatorzy umieszczają w oficjalnej selekcji filmy, które kwestionują tradycyjne granice dobrego smaku. Pokazywane są na specjalnych seansach po północy. Dwa lata temu w ramach nocnego pokazu zaprezentowano bliskie pornografii „Pieprz mnie” Virginie Despentes z gwiazdą porno w roli głównej. W tym roku zaś „Irréversible” mieszkającego w Paryżu Argentyńczyka Gaspara Noe wywoływał mdłości nie tylko ze względu na drastyczność ukazanych scen przemocy (film zawiera wielominutową scenę gwałtu z udziałem Moniki Bellucci), lecz także za sprawą pracy kamery oraz efektów dźwiękowych. Aż strach pomyśleć, co zobaczymy za rok...

Tymczasem do Cannes powrócił spokój. Na placu targowym w centrum miasta ponownie handluje się świeżymi owocami i warzywami, jajami, serami, mięsem i winem. Festiwalowicze pozostawili mieszkańców Cannes z pełnymi portfelami i opróżnionymi spiżarniami.

RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI

Czerwone na czerwonym

JAROSŁAW KRAWCZYK

W mej wielce subiektywnej historii malarstwa nie może zabraknąć problemu malarstwa abstrakcyjnego. Od razu mamy więc to z głowy, zwłaszcza że go z zasadniczych przyczyn specjalnie nie uważam. Dlaczego? Otóż weźmy na przykład słynną „Primaverę” Sandro Botticellego. Ujmując rzecz czysto analitycznie, można to dzieło rozłożyć na kilka poziomów.

Pierwszy nazwijmy formalnym, takim, na jakim obraz objawia się naszej świadomości przede wszystkim jako płaszczyzna pokryta barwami w określonym porządku. Na pewno panuje tu porządek niemal idealny: stojąc przed „Primaverą” w Galerii Uffizi, miałem wrażenie, że jest to genialny obraz abstrakcyjny, którego twórca umiał znaleźć stan doskonałej równowagi dla kolorystycznych tonów i półtonów. Idąc wszakże głębiej w obraz, a właściwie w nasze przeżycie, odkrywamy drugi poziom. Mówiąc wprost, „akcja” „Primavery” toczy się w rozjaśniającym się lesie – odchodzi noc, świt już nastaje. To czas szczególnych doznań, co wie każdy, kto choćby raz przeżył leśny świt wraz z jego tajemniczymi głosami, blaskami, zapachami. Nadto „Primavera” symbolicznie wyobraża święto wiosny, święto miłości, które znają prawie wszystkie stare kultury – i gdzieś na dnie naszej nowoczesnej duszy ożywa pamięć o pradawnych rytach i ceremoniach. To już poziom trzeci, lecz jest jeszcze czwarty, bo źródła powiada, że to zakamuflowana *love story* o miłości historycznego Giuliana Medicego do takiej Simonetty Vespucci.

Mógłbym jeszcze wyróżnić dalszych 10 poziomów, lecz w przeżyciu estetycznym stapia-

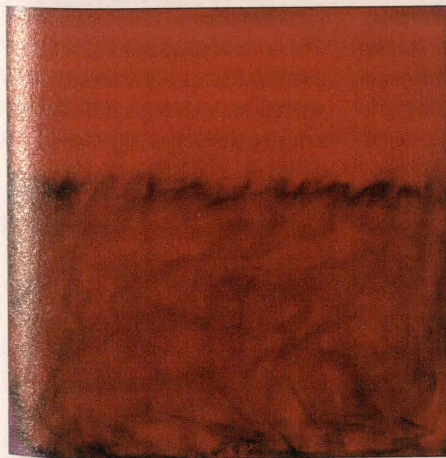


Sandro Botticelli „Primavera”, około roku 1482

ją się w jedno. Płynące z obrazu promienie zestrzeliwiają się wtedy w naszej duszy jak w magicznej soczewce i – zaczynają płonąć. I o to właśnie we wszelkiej sztuce chodzi. Ambaras z malarstwem abstrakcyjnym w tym, że zna tylko jeden jedyny poziom odbioru – ten pierwszy...

Pytanie jednak, kto namalował pierwszy obraz abstrakcyjny? Jedni mówią, że van de Velde w roku 1893, inni, że Picabia w 1909 czy Kandinsky w 1910. Ja wszakże sądzę, że na pewno musiało się to stać przed rokiem 1855, wtedy bowiem przeniósł się w zaświaty ktoś, kto dał pierwsze świadectwo istnienia sztuki abstrakcyjnej – duński filozof Søren Kierkegaard. Pozostał on nam w spadku opis obrazu, na którym nie ma niczego z wyjątkiem czerwonej farby. Twórca tego arcydzieła zapytany, co ono przedstawia, odpowiedział, że... Izraelitów przechodzących Morze Czerwone. Żydów na nim nie ma, bo już przeszedł, Egipcjan też, bo się potopili. Łatwo zauważyć, że ów obraz abstrakcyjny jest jednocześnie historyczny – i w tym momencie popadamy w kompletny chaos pojęciowy. Malarstwo abstrakcyjne = malarstwo historyczne? Nonsens.

Niedawno jakiś porządek w tym bałaganie usiłował wprowadzić harwardzki analityk Arthur Danto, który gdy tylko przeczytał zapis Kierkegarda, zestawiał imaginacyjną mini-galerię w pełni czerwonych obrazów.



Mark Rothko „Nr 54”, rok 1958

Pierwszy z nich to oczywiście płótno historyczne duńskiego malarza z połowy XIX wieku pod tytułem „Żydzi przechodzący Morze Czerwone”. Drugi to kubizujący pejzaż miejski „Plac Czerwony”, trzeci – „Czerwony kwadrat na czerwonym tle” któregoś z naśladowców Kazimierza Malewicza. Można namalować sobie w myśli jeszcze czwarty, a wszystkie będą przedstawiać zbiór nader różnorodny stylistycznie i tematycznie, tylko że zawierający same czerwone prostokąty. Będą jednak dziełami sztuki stworzonymi w różnych czasach – wedle obowiązujących w nich kanonów i receptur. I wszystko gra: w straszne kłopoty popadamy dopiero wtedy, gdy do naszej kolekcji spróbujemy dołączyć kolejny czerwony prostokąt przypisywany Goi. Oddajemy go w ręce fachowców, którzy po specjalistycznych badaniach wydają korzystną dla nas ekspertyzę – to prawdziwy Goya! Z tą wszakże uwagą, że nie jest to skończone dzieło sztuki, lecz czerwono zagruntowane podobrazie, na którym zwykł malować hiszpański mistrz... I znów kompletne bezhołowie.

Radzę więc czytelnikom, aby wzięli to pod uwagę, gdy zechcą kupić obraz abstrakcyjny, zwłaszcza całkiem czerwony. Ja już dawno postanowiłem, że od wszystkiego, co czerwone, będę się trzymał z daleka.



Super Girl & Romantic Boys, pierwszy z prawej Kostek Usenko, na pierwszym planie druga wokalistka Ewik

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Paradoksy „Disco Chaos”

Polskie punki reanimują styl new romantic

Papa Dance odradza się z myślą o wakacyjnej trasie po Polsce, a Kapitan Nemo po latach milczenia wydał właśnie nową płytę „Wyobraźnia”. Powracają czołowe postaci elektronicznej rozrywki, jaka w połowie lat 80. królowała w Telewizyjnej Liście Przebojów ignorującej wówczas zbuntowaną, spontaniczną alternatywę rockową, jak T.Love Alternative czy Kult.

Wielu artystów zniknęło i powracało. Niewielu doczekało się twórczych naśladowców swego stylu. Takich jak ci debiutujący na składance „Disco Chaos – Nowa Fala 2002”, której pomysłodawcami są didżej Radiostacji Max Cegielski oraz Sławek Pie-

trzak – wydawca (a w swoim czasie także muzyk) Kultu. Paradoksalnie, nowi alternatywni artyści pojawiający się na tej płycie przyznają się wprost do inspiracji disco i new romantic sprzed 20 lat.

Paradoks 1: Uroki dzieciństwa a koszmary młodości

Jeśli chodzi o obecność starszych – 30-, a nawet 40-letnich – wykonawców piosenek z „Disco Chaos”, jak zespoły Blondyny i Play (w obydwu realizują się eksmuzycy rockowego Kultu: Fala i sam Pietrzak), wytłuma-

czenie wydaje się banalnie proste. Wyżywają się w pastiszach koszmarnego, obciachowego *mainstreamu* swojej młodości, czego dowodem jest choćby utwór „Radek Polań” grupy Play naśladowującej wczesne nagrania Urszuli z dawną Budką Suflera.

Kompletnie inaczej jest z dwudziestoparolatkami. Macio Moretti (Królowie Życia) i Kostek Usenko (Super Girl & Romantic Boys) wyznali mi po prostu, że grają muzykę, która fascynowała ich, kiedy byli dziećmi.

– To było bardzo oryginalne i działało na wyobraźnię pięciolatka, takie kosmiczne efekty i makijaże, elektroniczna muzyka, refreń wpadające w ucho – mówi Kostek, którego ze-

spół występuje na koncertach z wymalowanymi na twarzach srebrnymi gwiazdami i obsypany brokatem. Z kolei wokalista grupy Królowie Życia na koncertach zakładał ciemne okulary z wąską szparką, podobne do tych, w jakich kilkanaście lat temu występował Grzegorz Skawiński z mocno elektronicznego Kombi.

Właśnie od Królów Życia rozpoczęła się cztery lata temu wśród warszawskich alternatywistycznych młodych na lata 80. Macio, perkusista punkowo-noisowych Starych Singers, z równą żywiołowością zaczął grać na basie właśnie w tym projekcie poświęcającym się wyłącznie nowym opracowaniom przebojów grupy Kombi.

– Pierwszym kopem było to, że nie tylko bawimy się przy takiej muzyce, lecz także ją tworzymy

– wspomina Kostek, muzyk industrialnej Najakotivy, który niedługo potem założył Super Girl & Romantic Boys. – Zaczęliśmy od disco, wczesnego Papa Dance, potem poszliśmy w new romantic i zaczęliśmy wykraczać poza to, co pamiętaliśmy z dzieciństwa. Teraz jesteśmy mamiakami, zbieramy stare płyty, to jest temat rzeka.

Paradoks 2: Smutek w tekstach, zabawa na parkiecie

Środowisko w Łodzi zaczęło się integrować na dyskotekach opartych na płytach z lat 80. puszczanych przez DJ Fagot, wcześniej organistę punkowej grupy 19 Wiosen. Na płycie reprezentują je trzy projekty Fagota – Procesor Plus, Lady Electra i Martha O. Bit – nawiązujące do cięższej, ambitniejszej, nowofalowej muzyki electro pop. Ze Szczecina pochodzi z kolei formacja Kolor Monitor.

A powstają następne zespoły, których na składance jeszcze nie ma – niedawno miałem przyjemność słuchać płyty demo łódzkiej grupy Elegant opierającej swoje produkcje na motywie z „Daj mi tę noc” Boltera.

Kostek również puszcza stare winyle do tańca – w nieistniejącej już galerii SuperNova występował jako One Dirty DJ, ściągając na parkiet prawdziwe tłumy. Jego ulubione nagrania to: Kapitan Nemo „Elektroniczna cywilizacja”, Urszula „Kalkomania”, „Ile masz lat”, Bajm „Co mi, Panie, dasz”, Papa Dance „Panorama Tatr”. Wylicza również Izabelę Trojanowską, radziecki zespół Forum, kataloński Club Naval i brytyjski Visage. Swoją repertuar przedstawia ulubionej przez dzisiejszych hedonistów muzyce house granej w modnych klubach:

– Co to za dyskoteka? Nie ma żadnej radości na parkiecie. Na takich imprezach ludzie są wyalienowani wobec siebie. To nie jest spontaniczna zabawa, tylko poza.

Zdaniem Kostka współczesny house’owy clubbing w Warszawie to przede wszystkim rewia mody – kto się drożej ubrał. Paradoksalnie, sam Kostek – mówiący o radości i dobrej zabawie – w obu własnych piosenkach na składance („Spokój” i „Klub samotnych serc”) śpiewa o samotności i niemożności kochania.

– „Klub samotnych serc”) śpiewa o samotności i niemożności kochania.

Paradoks 3: Idol neodyskotekowców metalowym gitarzystą

Super Girl & Romantic Boys mają w swoim instrumentarium oryginalny syntezator z epoki – Yamahę DX-21 kupioną za kilkaset złotych w komisie. Gitarzysta tej formacji produkuje też solowe nagrania sygnowane jako Robot Adolf – słysząc w nich echa melodyjek z gier do pierwszych domowych komputerów ZX Spectrum, Atari czy Commodore.

Ruch punk w Polsce zaczął się na przełomie lat 70. i 80. od manifestów Kryzysu przeciwstawiających własną, świeżą, żywą muzykę zdegenerowanej kulturze dyskoteki.



Blondyny: Dziki i Fala

Rockowy Lombard swoją pierwszą płytę nagrałą 20 lat temu zatytułowała wręcz „Śmierć dyskotece”.

Kostek zżyma się, kiedy określał disco słowem „obciach”.

– Dlaczego obciachowe? Dla mnie obciachem jest Korn, IRA, Nirvana – wylicza hardrockowe kapale. – Każdy człowiek ma prawo dobrze się zabawić i wzruszyć. Nie trzeba udawać napuszonych buntowników.

A największym paradoksem jest to, że jeden z idoli twórców „Disco Chaos” – Grzegorz Skawiński, który śpiewał w Kombi – realizuje się obecnie artystycznie jako gitarzysta ciężkorocekowego zespołu O.N.A. ■

Różni wykonawcy, „Disco Chaos – Nowa Fala 2002”, SP Records

NOWOŚĆ S.P. RECORDS

DISCO CHAOS

NOWA FALA 2002



Super Girl & Romantic Boys, Blondyny, Kolor Monitor, Procesor Plus, Lady Electra, Martha O. Bit, dobry Robot Adolf a także archiwalne nagrania Królów Życia to istniejąca, żywa scena, na jednej płycie po cenach kryzysowych. Słabo.

Twardziele undergroundu: 1 dirty DJ Kostek, Fala Falkowski, Dziki, Fagot i inni grają i śpiewają piosenki o miłości. Brutal romantic, elektro, new romantic, new wave, punk disko, neopolo – nie wiadomo o co chodzi ale można to zanuć i zatańczyć.



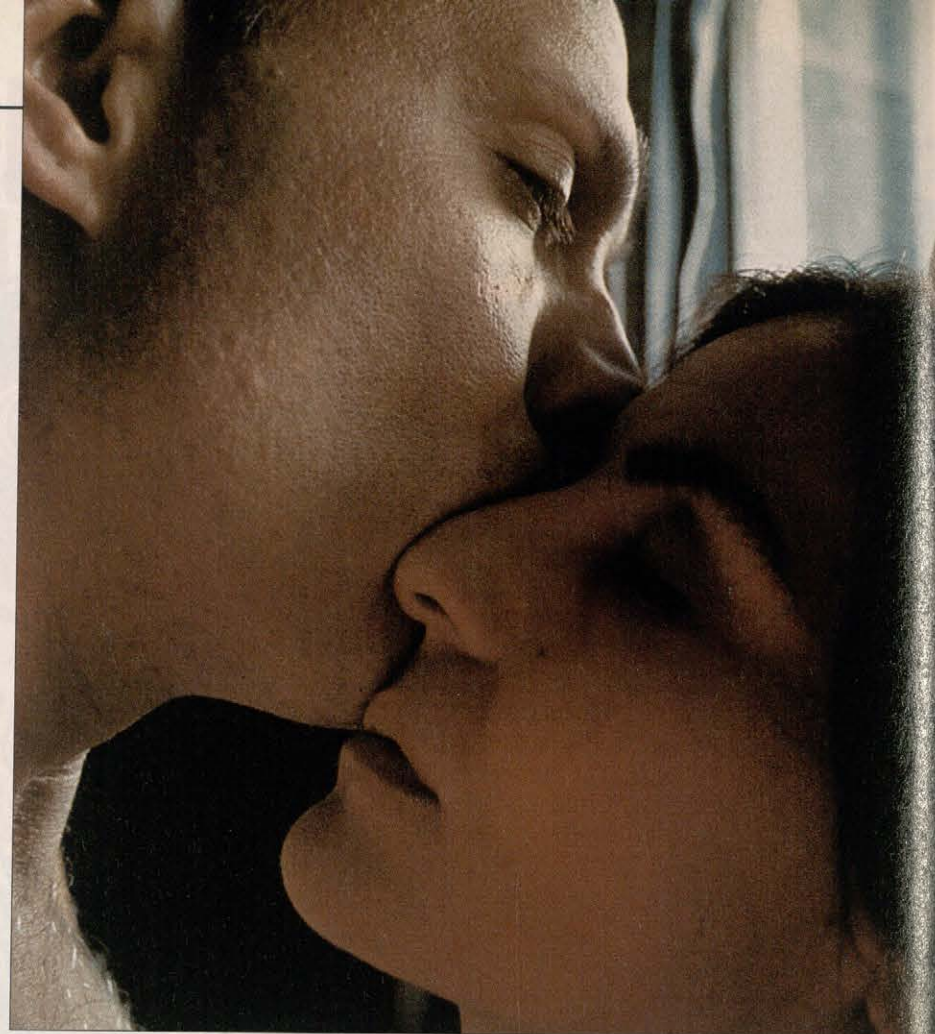
PRZE
KRÓJ

fluid

wp.pl

radiostacja

Ten piękny hiszpański film jest tak daleki od Almodóvara, jakby były dwie Hiszpanie odległe od siebie o lata świetlne



W Sewilli jak w Kutnie

To nie jest Sewilla tancerzy flamenco, to nie jest Sewilla klejnotów architektury, turystycznych atrakcji, eleganckich promenad. W filmie Benita Zambrana nie ma ani Hiszpanii śródziemnomorskich plaż, ani egzotyki walk byków i religijnych procesji. Co może być symbolem tego filmu? Stara wieśniaczka, która chce wpuścić trochę powietrza do zatęchłego mieszkania swojej córki. Otwiera okiennice. Nie ma okna. Surowy mur z cegieł. Co najlepiej oddaje przesłanie „Samotnych”?

Emeryt otwierający okno piętro wyżej, wystawiający twarz na słońce ze słowami: „Znów Bóg dał nowy dzień...”. Sewilla między dławiącym smutkiem a kruchą nadzieją. Hiszpania, w której odnajduje Polskę.

Sentymentalnie zaczynam recenzję z „Samotnych” – uwierzcie, nie mogę inaczej. To sentymentalny film. Nie umniejsza to w niczym jego rangi, broni go zresztą dwadzieścia parę nagród na różnych festiwalach, w tym pięć najwyższych hiszpańskich wyróżnień Goya. Czy to senty-

mentalizm być po stronie uczuć, wzruszeń, dobroci?

Atutem filmu są znakomite portrety rysowane miękko, ale zarazem z wielką świeżością i energią. Dwie zostające długo w pamięci kreacje aktorskie – wiejskiej analfabety Marii (Ana Fernández). I w drugim rzędzie mężczyźni – wieśniak, ojciec Marii, jej sąsiad emeryt, barman z knajpy na rogu dający na kredyt, lekarz ze szpitala, w którym leży ojciec Marii, wreszcie jej kochanek, kierowca tirów.



Drodzy Czytelnicy „Przekroju”, będzie nam bardzo miło spotkać się z Wami podczas pokazu filmu „Samotne” w reżyserii Benita Zambrana.

Pokaz odbędzie się 13 czerwca w kinie Muranów, ul. Gen. Andersa 1. Aby otrzymać zaproszenie dla dwóch osób, wystarczy zadzwonić lub wysłać SMS pod podany niżej numer telefonu i zostawić swoje dane. Pierwsze 30 osób, które się do nas dodzwonią, będzie naszymi gośćmi na pokazie. O wygranej powiadomimy Państwa telefonicznie. Linia będzie czynna od 5 do 11 czerwca 2002 przez całą dobę.

Telefony: ze stacjonarnego – 0-700 683 037, z komórkowego – 700 683 037, dla abonentów IDEI – *740 883 037 lub SMS pod numer 7260 o treści PRZEKROJ
Region Polska, koszt połączenia wynosi 2 zł + VAT za minutę

Każdy z nich wyrazisty, ze swoją ludzką sprawą tak dramatyczną, że mógłby nią wypełnić cały seans.

Mały świat zły dzielnicy w Sewilli, gdzie bezrobotni śpią na przystankach kolejowych, a nocą lepiej nie ruszać się dalej niż do baru na rogu. Mikroświat, w którym debiutujący reżyser rozegrał opowieść o tym, jak dobry człowiek, przechodząc przez życie, zostawia ze sobą smugę nadziei. Zaczyna się tak: stara kobieta przyjeżdża do Sewilli, bo tu, w szpitalu, operowano jej męża. Musi zamieszkać u córki, która dawno zerwała z rodziną. Córka pije, pracuje dorywczo, jest wściekła na świat, oschła, wybuchowa, nieufna. Matka wkracza w jej życie w złym momencie, kiedy jej kochanek...

Nie, nie opowiem historii, bo musicie przejść i zobaczyć sami. Musicie złożyć haracz paru łez za ten film tak daleki od Almodóvara, jakby były dwie Hiszpanie odległe od siebie o lata świetlne. A jednak coś łączy tych dwóch – czułość i głębia, z jaką opowiadają o kobietach.

„Solas” – „Samotne” to autorski film młodego już debiutanta, który ledwie parę lat temu skończył szkołę filmową na Kubie i znany był dotąd tylko jako autor nagradzanego dokumentu „Czar księżycowej pełni”.

Scenariusz „Samotnych” napisał jeszcze na Kubie, potem długo szukał producenta (a producent pieniędzy). Musiał w szkole w Hawanie naoglądać się filmów sprzed pół wieku, dobrego włoskiego neorealizmu, filmów, jakie robili Zavattini, De Sica, De Santis. Jest

w „Samotnych” tamta stylistyka, emocjonalny klimat, zamiłowanie do zwykłych ludzi pokazanych w ich własnych mieszkaniach, ciepło uczuć i okrutny świat. Neorealiści często zapraszali przed kamerę ludzi spoza aktorskiego świata. Film Zambrana to także film wielkich odkryć – dwie główne role kobiece zagrały debiutantki, dziś gwiazdy. Kompozytor Antonio Melivo nigdy nie pisał dla filmu. Jego nasyciona andaluzyjskim smutkiem, gęsta od emocji muzyka urzekająco buduje klimaty kolejnych scen. Zaangażowano go do czterech kolejnych filmów.

Oczywiście w życiu za wszystko się płaci. W kubańskiej szkole naoglądał się Zambrana także socrealizmu. Bez tego nie byłoby przyciężkiego finału, który podkreśla wszystkie znaczenia, stawia kropki nad „i”. Ta kawa na ławę tak obficie zaserwowana na koniec subtelnie snutej opowieści trochę mi przeszkadzała, ale wybaczyłem. Niejeden i niejedna uzna, że to nawet potrzebne. Jest czas na otarcie łez.

Hiszpanie ulegli czarowi tego filmu. Polacy też ulegną, bo ludzkie sprawy przedmieść Sewilli bardzo są bliskie problemom z przedmieść Bydgoszczy, Chorzowa, Radomska czy Kutna. Okrucieństwo mężczyzn, którzy nie zauważają, że są okrutni. Samotność kobiet, którym odebrano język skargi i słowa czułości. Tam losy loterii, u nas kupony totka, smętne lekarstwo dla umierającej nadziei.

PIOTR WOJCIECHOWSKI
„Samotne”, reż. Benito Zambrana,
Hiszpania 1999, Gutek Film

Tydzień w kinie

W lecie nie ma sensu szukać w kinie azylu, bo repertuar coraz bardziej mizerny. Cieszymy się więc tym, co przyniosła późna wiosna: filmem „Azyl” Davida Finchera na przykład, choć to najbardziej konwencjonalna z dotychczasowych produkcji tego kontrowersyjnego reżysera, twórcy „Siedem” i „Podziemnego kręgu”. Standardowo zrealizowany thriller, w którym są trzy złe koty i dwie biedne myszki (matka – Jodie Foster – z córką). Niebezpieczne igraszki tej menażerii mogą jednak przyprawić widza o spocone ręce.

Ze względów poznawczych warto też obejrzeć „Czekając na wyrok” Marca Foster. Było nie było, pierwszy w historii Oscar dla czarnoskórej aktorki za rolę pierwszoplanową. Sam film niemrawo próbuje dowiedzieć, że miłość zwycięży rasizm, niemniej jednak aktorstwo – zarówno nagradzanej Halle Berry, jak i Billy’ego Boba Thorntona – bez zarzutu.

Inna propozycja to komputerowo odświeżony „E.T.” Stevena Spielberga po 20 latach od premiery. Znakomity początek wciąż robi wrażenie, potem leje się lukier w ilościach trudnych do strawienia, ale – kto wie – może wzruszający stwór z kosmosu stanie się bohaterem i naszych czasów.



„E.T.”

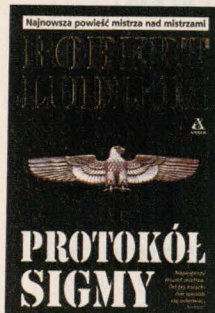
„Dzień świra”

Obawiam się jednak, że większe szanse ma Adaś Miauczyński, sfrustrowane indywiduum przewijające się przez kolejne filmy Marka Koterskiego. Ten najnowszy – „Dzień świra” – to chyba najlepsza rzecz reżysera od czasów „Życia wewnętrznego”. Kompleksowy obraz świata betonowego, zdegradowanego.

Jeśli potrzeba będzie antidotum na świra, polecam zgrabną animację „Epoka lodowcowa” Carlosa Saldanha i Chrisa Wedge’a – opowieść o przyjaźni z czasów przed naszą erą. Warto zabrać do kina dziecko (swoje, przyjaciela, sąsiada...), by całymi pokoleniami przekonać się, jak to drzewie bywało.

BARTOSZ ŻURAWIECKI





Robert Ludlum
„Protokół Sigmę”,
przeł. Jan Kraśko,
Amber, Warszawa 2002



Majgull Axelsson
„Kwiatniowa czarownica”,
przeł. Halina Thylwe,
W.A.B., Warszawa 2002



Svetlana Broz
„Dobrzy ludzie w czasach zła”,
przeł. Dorota Jovanka Cirić,
Czarne, Wołowiec 2002

„Protokół Sigmę” ukazał się już po śmierci Roberta Ludluma. Nie wiadomo, co jeszcze kryją szuflady (a może raczej: twarde dyski i dyskietki) mistrza i prawodawcy gatunku zwanego *global conspiracy thriller*, ale przyjmijmy, że to naprawdę ostatnia z jego licznych powieści. Miłośnicy talentu Ludluma nie powinni być tym łabędzim śpiewem ani trochę rozczarowani. Złowrogi spisek, którego macki sięgają pierwszej ligi możliwych tego świata, jest odpowiednio perfidny i – co się zowie – globalny. Akcja misternie wikła się w uroczne nieprawdopodobieństwa i fantastyczne absurdy. Trup ściele się gęsto i nie bez wdzięku. Bohaterowie, którzy zmagają się z hydrą międzynarodówki złooczyńców, są dzielni, piękni, ideowi – i zadziwiająco sprawni fizycznie. Także wątek miłosny (bo jest i obowiązkowy wątek miłosny) rozwija się nad wyraz korzystnie. A wszystko to spotęgowane i przejawione, opatrzone pieczęcią niepodrabialnego ludlumowskiego stylu. Stylu, który raz po raz – chciałoby się pomyśleć, że świadomie – przeczy sam sobie i sam siebie wywraca na nice. Tak więc, choć trudno w to uwierzyć, ostatnim Ludlumem zaczytywać się mogą nie tylko amatorzy sensacji, lecz także zwolennicy literatury zupełnie innego rodzaju. Oto, jakich czasów dożyliśmy. *So long, Robert. (MS)*

Kiedy byłem mała, ojciec czytał mi na dobranoc książki szwedzkich pisarzy. Uwielbiałem Astrid Lindgren („Dzieci z Bullerbyn” znałem na pamięć) i innych autorów, których nazwisk już dziś nie pamiętam. Całe lata prosta i syta Szwecja była moją prywatną Utopią, na wpół mityczną krainą szczęśliwego dzieciństwa. Jej mieszkańcy wydawali mi się inni od pozostałych mieszkańców Planety. Nigdy nie pojechałem do kraju marzeń. Nie jadłem cynamonowych bułeczek domowej roboty, nie widziałem polarnej zorzy na niebie i zachodniego socjalizmu. Ale nagle przeniosłem się w tamten świat, czytając znakomitą powieść Majgull Axelsson. Tę podróż w głąb szwedzkiej podświadomości, aż do źródeł narodowej niewinności, w których codzienność i magia zlewają się w jedno, śledziłem z zapartym tchem. To był zimny prysznic. Okazało się, że bohaterowie mojego dzieciństwa – Braciszek, Karlsson z Dachy i Lisa z Bullerbyn – dojrżeli, mają koło pięćdziesiątki i rozliczają się z doświadczeń młodości. Książka Szwedki staje się zatem oczyszczającą baśnią o sensie życia. Można ją też czytać jak moralitet i traktat teologiczny w stylu Ingmara Bergmana. Słuchać w tej opowieści echa skandynawskiej sagi i rodzinnych dramatów Strindberga. Ale jest ona również pozbawionym gorzkiej ironii opisem szwedzkiego społeczeństwa ostatnich 40 lat i wreszcie – oryginalną powieścią feministyczną. Axelsson opowiada bowiem historię pięciu okaleczonych przez los kobiet, których życiorysy spletają się i dopełniają nawzajem. **(MB)**

Svetlana Broz, wnuczka Tity, świadomie zrezygnowała z wszelkiej obróbki redakcyjnej spisanych świadectw z lat wojny w Bośni. Stąd niebudząca wątpliwości prawdziwość rwanych, chropowatych narracji. Ten obfity zbiór relacji znajdzie, rzecz jasna, miejsce na półce, gdzie gromadzimy – by użyć rozróżnienia Bernarda Shawa – „lektury nieprzyjemne”. Musi się tam jednak znaleźć, jeśli terminy „wojny bałkańskie” i „czasy czystek etnicznych” mają dla nas być czymś więcej niż tylko dyżurną frazą wyjadaczy publicystyki. Tylko tak – bezustannie myśląc walczące strony, prześladowanych i prześladowanych (w książce zgromadzono relacje wszystkich stron konfliktu), krążąc wśród nużących powtarzających się scen i rekwizytów, na przykład: kilo mąki, córka w piwnicy, cebula dobra na szkorbut, otwierane kopnięciem drzwi – mamy szansę zrozumieć cokolwiek z tego, jak było. Dlaczego tak było – nadal wymyka się zrozumieniu i nieraz w trakcie lektury można dojść do wniosku, że od formuł politologów i etnografów znacznie bardziej przydatna byłaby definicja teologów, którzy już kilka wieków temu zdefiniowali diabła jako „byt osobowy i niematerialny, którego istotę stanowi wola czynienia zła”. **(WS)**

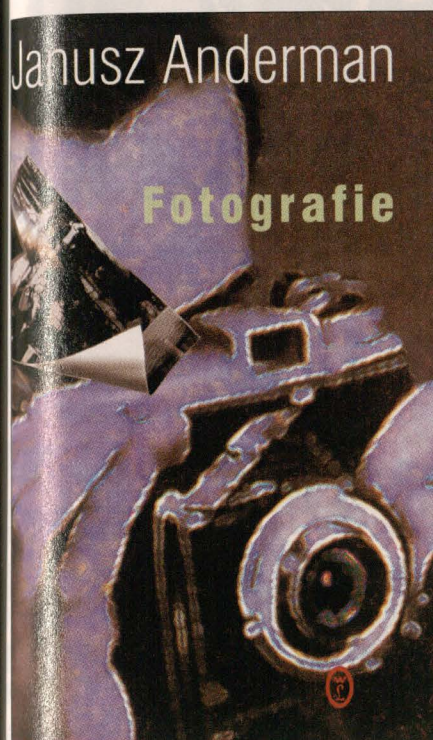
Wywołane pamięci

Oto barwna,
śmieszna,
ale i groźna
opowieść
o krainie cenzury,
kolejek
i przyjaźni
polsko-radzieckiej

Diabli dziś wiedzą, czy fotografia była naprawdę takim fajnym wynalazkiem. Pojawiła się niby w dobrym momencie – kiedy ludzkość w swojej masie tak się wzajemnie spletała w najróżniejszych kombinacjach rodzinno-towarzystwo-finansowych, że przestała wystarczać konwencjonalna pamięć: kto, z kim, jak i dlaczego. Pstrykało się więc fotkę i już wiadomo było, jak wyglądał dziadek albo dlaczego zamiast taty na tle służbowego wyjazdu do Katowic widać tatę na tle jakiejś pani w Międzyzdrojach.

Ale że nie mamy w niczym opamiętania, także i fotografię doprowadziliśmy do paranoi. Fotografujemy wszystko, wszędzie i o każdej porze, w czym mistrzostwo, jak wiadomo, osiągnęli Japończycy. Miliardy prostokątnych kartoników zalegają od dziesiątków lat naszą biedną ziemię, a ich liczba rośnie wprost proporcjonalnie do liczby ludności. A jeszcze albumy z fotografiami... Nie mówiąc o pismach ilustrowanych. Na przykład, nie wymawiając, taki „Przekrój”, który co tydzień też swoje dokłada.

Janusz Anderman podjął samotną walkę o przywrócenie pierwotnego sensu fotografii. Czyli najprostszej funkcji pamięci o czymś, co było i minęło. Ale właśnie: czy naprawdę minęło? Bo tak naprawdę



fotografia ma nie tylko p o k a z a ć na obrazku, jak było. Ma również pomóc odtworzyć okoliczności sytuacji, w jakiej zdjęcie zostało zrobione. Dlaczego tam i właśnie wtedy? Kto stał za obiektywem, a kto przed? Co się stało, że pstryknięto? W jakim wówczas żyliśmy świecie, kto nim rządził i jak nas urządził?

„Fotografie” Andermana opowiadają właśnie o tym. Jeśli jednak ktoś pomyśli, że kupując „Fotografie”, obejrzy sobie fotografie, mocno się zawiedzie. Anderman jest pisarzem i opisuje fotografie, miał je pokazywać. Jedyne rzeczywiste zdjęcie, jakie tam znajdziemy, to fizjonomia autora z tytułowej okładki.

Na pierwszy rzut oka jest to zbiór krótkich opowiadań-migawek wywołanych jakimś konkretnym zdjęciem. Założenie jest takie, że na każdym powinien być autor w wieku dowolnym, miejscu dowolnym i okolicznościach dowolnych. A jak

go nie ma, to znaczy, że właśnie to zdjęcie robi. Ta dwójka autorska obecność gwarantuje autentyczność opowieści, oczywiście o tyle, o ile.

Jeśli ten zbiór jest powieścią w wielu odsłonach, a można tak czytać „Fotografie”, nie szukajmy ani chronologii wydarzeń, ani innej konsekwencji kompozycyjnej oprócz naśladowania samej pamięci, która rządzi się kaprysem, przypadkiem, nieprzewidywalnością. Na jednym zdjęciu widać dziecko, które zamachuje się kawałkiem grubego drutu w kierunku przelatującego nad nim samolotu do opylania pól. Na innym zobaczymy dziwnie roześmianych ludzi na pogrzebie pisarza Ireneusza Iredyńskiego. Na jeszcze innym – łuskę po granacie z gazem łzawiącym wystrzelonym w grudniu 1970 r. w Krakowie podczas rozpędzania przez milicję wiecu robotniczego.

To są fotografie nie tylko o dzieciństwie, młodości i dojrzałości chłopca z Kielc, który studiował w Krakowie, tam przystał do pewnego kontestującego pisma o nazwie „Student” (poznaję kilka fotografii z tamtych czasów, bo i ja na nich jestem, też naonczas dziennikarz tego rozbitego dwutygodnika), potem wyjechał do Warszawy, gdzie do dziś mieszka. Jest to też barwna, śmieszna i często groźna opowieść o PRL-u, tej historycznej już krainie absurdu, cenzury, kolejek i przyjaźni polsko-radzieckiej.

Chłopiec został po drodze pisarzem; jego kilka książek uchodziło i nadal uchodzi za jedno z lepszych świadectw ponurej łobuzerki zwanej realnym socjalizmem. Jego specyficzny styl na pograniczu naturalizmu i groteski (Anderman ma czuć jak grizzly ucho na wszelkie językowe potoczności rodzajowe) wywołuje raz skurcz grozy, raz atak śmiechu. Jak nasze ówczesne życie rozpięte między kolejką po papier toaletowy a bibułą, na której drukowało się biuletyny wzywające do oporu przeciw władzy, która nam te kolejki fundowała.

Myślę, że jest to najlepsza książka Andermana. Jeśli się mylę, rzućcie kamieniem; ale warto czytać tak czy owak.

TADEUSZ NYCZEK

Janusz Anderman „Fotografie”,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002



Wiliam Hazlitt „Eseje wybrane”,
tłumaczył i posłowiem opatrzył
Henryk Krzeczkowski.
Seria „Z drzewkiem”,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 1957, 361 s.

W napisanym niespełna 200 lat temu eseju „O czytaniu nowych książek” Wiliam Hazlitt nie mógł się nadszwić, że dla tak wielu ludzi przeczytanie książki, która nie ukazała się w ostatnim miesiącu, a przynajmniej w ubiegłym roku, jest pomysłem równie dziwnym jak nałożenie starej zbroi i paradowanie w niej po ulicach. Esej Hazlitta przypominał mi się niedawno, kiedy zajrzałem do księgarni w pewnym dużym mieście na północy Polski, zapytałem, gdzie jest najbliższy antykwariat. „Tu w ogóle nie ma antykwariatów” – odpowiedział księgarz i, patrząc na mnie jak na przybysza z jakiejś dziwacznej krainy, wyjaśnił: „U nas nie czyta się starych książek”. Gdyby ludzkość przeczytała to wszystko, co się już uprzednio ukazało, można by zrozumieć brak ochoty do powtórnego czytania tego samego, zauważał eseista, gdy jednak pomyśleć o niezliczonych tomach niedostrzeżonych i niekniętych, niechęć do nich wydaje się reakcją duchowego parweniusza. „W naszych czasach – pisał Hazlitt w roku 1827 (!) – można uważać, że książka przeszła wszystkie próby, jeśli w ogóle wspomina się o niej w trzy miesiące po jej wydrukowaniu”. Pogoń za nowościami jest wyścigiem nie o mądrość, ale o pierwszeństwo w paplaninie i wyrokowaniu. Nową książkę otacza „zimna, rozrzedzona aura niewiedzy i niepewności, niewypełniona jeszcze żadną odnotowaną opinią, a ciekawość, bezcelność i snobizm pędzą, by wypełnić próżnię”. Tymczasem, twierdził Hazlitt, „książka nie przeczytana jest dla mnie pod każdym względem książką nową, niezależnie od tego, czy wydrukowano ją wczoraj czy też przed trzystu laty”. Na argument zaś, że jest przestarzała i tradycyjna, odpowiadał, że o tyle właśnie jest nowsza, o tyle bardziej daleka od dobrze znanej interesownej rutyny dnia powszedniego.

ZBMENTZEL@WP.PL



RICHARD RUSSO • RYSUNKI STANISŁAW MŁODOŻENIEC

Druhna swojej matki

Fragment powieści,
którą w tym roku wyróżniono
nagrodą Pulitzera

Od tłumacza:

Jeśli wierzyć współczesnej prozie amerykańskiej, Ameryka to kraj nieudaczników, którzy albo przemieszczają się bezradnie po ogromnych amerykańskich przestrzeniach, albo też równie bezradnie tkwią w pułapce jałowego, tragikomicznego życia. Bohaterowie nagrodzonej tegorocznym Pulitzerem powieści Richarda Russo „Empire Falls” (Alfred A. Knopf, New York 2001) należą raczej do tej drugiej kategorii. Tytułowe Empire Falls to nazwa fikcyjnego miasteczka w stanie Maine, lecz również przejrzysta aluzja do stanu upadku imperium – pod którym powinniśmy oczywiście rozumieć Amerykę, choć tak naprawdę chodzi o fabrykę koszul rodziny Whitingów, dzięki której od pokoleń żyło miasteczko. Nie dość, że fabryka miotana jest falami globalizacji i wymuszonych przez nowych właścicieli redukcji, to jeszcze najmłodszy z Whitingów od koszul woli poezję, a od chłodnego raczej Maine – słoneczny Nowy Meksyk. Nic dziwnego, że w Empire Falls ludzie tracą pracę, chociaż większość tkwi uparcie w miasteczku, czekając, co będzie dalej. Punktem ogniskowym tej społecznej entropii jest niejaki Miles Roby, który prowadzi tanią restaurację Empire Grill i stara się zachować resztki stoickiego spokoju, mimo że jego była żona wyszła właśnie za właściciela miejscowej siłowni, a uzdolniona artystycznie córka Tick nosi się wszędzie z wypchanym nie wiadomo czym plecakiem i ma trudności z rówieśnikami. Na dokładkę Miles zaczyna cierpieć na dziwne dolegliwości fizyczne i umysłowe. Słowem – kawał życia, jeśli, rzecz jasna, wierzyć współczesnej prozie – osobiście odradzam.

JAROSŁAW ANDERS

– Nie patrz – powiedział David, podnosząc wzrok znad gazety – idzie tu szczęśliwy żonkoś po miodowym miesiącu.

I rzeczywiście, Srebrny Lis potykał się właśnie na stopniach restauracji. Choć Miles nie był specjalnie rad, że go widzi, musiał się uśmiechnąć na myśl, że przynajmniej nie słyszy już rżenia furgonetki Walta, które prześladowało go od ponad roku. Oto jeszcze jedna pozytywna zmiana w jego życiu, odkąd się rozchorował.

Po ślubie Janine ludzie wypytywali oczywiście, jak się czuje jako mężczyzna wolny. Ku własnemu zaskoczeniu czuł się całkiem nieźle, jakby liczne opóźnienia w przewodzie rozwodowym wyczerpały nawet jego skłonność do obwiniania się o wszystko. Spodziewał się, że ślub jego byłej żony będzie dla niego cięższy, że pogłębi poczucie osobistej klęski. W końcu przecież oboje z Janine przysięgali sobie kiedyś wobec Boga i rodziny, że aż po grób, a teraz ona przyrzekała to samo innemu mężczyźnie. Kiedy jednak sędzia pokoju spytał, czy ktoś z obecnych ma coś przeciwko temu związkowi, Miles stwierdził z pewnym zażenowaniem, że on nic nie ma przeciwko, przynajmniej już teraz. Zawsze opierał się naiwnej wierze Janine, że życie można zacząć od początku, tak jakby przeszłość zupełnie się nie liczyła, ale ona właśnie zaczynała, co mogło znaczyć, że jemu, Milesowi, też się to uda, zwłaszcza teraz, kiedy już powziął decyzję.

Oczywiście, w kwestii nowego życia Janine nic jeszcze nie było przesądzone. Milesowi było na przykład przykro, że jej wielki dzień okazał się taką tanią imprezą. Właściwie wszystkie śluby cywilne uderzały go zawsze jako niezwykle pobieżne – ceremonia kończyła się, zanim się jeszcze na dobre zaczęła. Dłużej trwałoby podpisanie umowy o kupnie domu. Tu Miles musiał pomyśleć sobie, że zakup nieruchomości uważano w dzisiejszych czasach za przedsięwzięcie poważniejsze, o znacznie rozleglejszych i trwalszych reperkusjach. Może zresztą zawsze tak było. W końcu to małżeństwo decydowało o prawie dziedziczenia i zapewniało ciągłość majątkową z pokolenia na pokolenie. Może pompa, która towarzyszyła niegdyś ślubom, była jedynie przygodnym ozdobnikiem rytuału daleko bardziej znaczącego, jeżeli nie wręcz świętego.

Przyjęcie weselne było prawie tak samo przygnębiające. Janine dała do zrozumienia, że chodzi jej o porządną ubaw z odlotowym zespołem i wielkim parkietem, gdzie będzie można naprawdę poszaleć – gdzie ona będzie mogła naprawdę poszaleć. Cała impreza została zaplanowana, jakby miała unaocznic liczne męzowskie niedociągnięcia Milesa. Przez cały okres ich małżeństwa, zdawała się mówić Janine, brakowało jej muzyki, zabawy, tańca i teraz, kiedy uwolniła się od Milesa Roby'ego, nareszcie nie będzie musiała sobie żałować.

W okolicy największym nadającym się do tego pomieszczeniem była siłownia Walta – jeżeli wyniosło się ścianki dzielące pokój do aerobiku od sali z maszynami Nautilus. Przemieszczono więc rozmaite narzędzia tortur – stopnie ruchome, rowery stacjonarne, bieżnie – a materace do jogi oparto o ściany, jakby niektórzy goście mieli zamiar rozbijać się tam elektrycznymi samochodzikami. Miles miał nieodparte wrażenie, że – sądząc po rozmiarach opróżnionej przestrzeni – zaproszono znacznie więcej osób, niż się w istocie zjawilo.

Zespół był może i dobry, Miles nie znał się na tym, lecz jego nagłośnienie najwyraźniej miało na celu wywołanie u obecnych raka mózgu. Miles stał z boku z Beą, której dokuczały hemoroidy, i Horace'em Weymouthem, który niezbyt chętnie został drużbą Walta Comeau i wbił się na tę okazję w błyszczący smoking. Miles nie lubił podglądać, ale był przekonany, że żyły na tym czymś, co rośło na czole Horace'a, pulsowały w rytmie gitary basowej. Pomyślał, że dwie godziny obecności na ślubie byłej żony to całkiem przyzwoicie jak na byłego męża, który wcale nie chciał rozwodu, więc podczas drugiej przerwy zespołu odszukał Janine, żeby powiedzieć, że wychodzi, że życzy jej wszystkiego najlepszego i że ona wygląda świetnie, co było prawdą, choć niezupełnie jak panna młoda.

– Nie zmyjesz się bez ostatniego tańca – powiedziała z zarumienioną twarzą i wyciągnęła Milesa na środek parkietu. Zespół, dbały o to, żeby ogłuszająca muzyka wypełniała salę nawet pod jego nieobecność, nastawił jakieś nagrania wzmacniane przez kolumny od gitar. Ku jeszcze większemu zakłopotaniu Milesa wszyscy obecni na przyjęciu przystanęli i odwrócili się, żeby obejrzeć ich taniec. Najwyraźniej ludziom wydawało się, że są świadkami tak zwanego wzruszającego momentu.

– Ostrzegałam, że nie będzie ci się podobało – powiedziała Janine. – Ależ skąd – skłamał. – Muzyka jest trochę głośna, to wszystko.

Nie wyglądała na przekonaną. – Powinieneś kogoś ze sobą przyprowadzić – odezwała się. – Charlene by przyszła, gdybyś ją poprosił.

Chociaż Miles nie potrzebował wcale tego litościwego tonu, wzruszyła go możliwość, że jego byłej żonie zaświatało jednak, choć trochę poniewczasie, że może się czuć samotny. – Ona akurat pracuje.

– Więc dałbyś jej, do licha, wolny dzień. Jesteś jej szefem, Miles. Gdybyś chciał, mógłbyś zamknąć całą restaurację.

Po dwudziestu z górą latach małżeństwa nadal zadziwiało go, jak łatwo ta kobieta zmienia emocjonalne biegi – z troski w poirytowanie.

– Janine – powiedział – jeżeli starasz się mnie ucieszyć, że jesteś żoną innego mężczyzny, wychodzi ci to całkiem dobrze.

Na co jej oczy wypełniły się łzami, skłaniając go do przeprosin, ona zaś płakała cicho na jego ramieniu, a gapie nabrali z tego powodu przekonania, że moment, którego są świadkami, jest nawet bardziej niż wzruszający. Jest wręcz natchniony. Nawet Srebrnemu Lisowi zaszkodziły się oczy.

Te nagłe łzy na parkiecie nie zaskoczyły wcale Milesa. Tydzień poprzedzający ślub był pełen łez i następujących po nich denerwujących negocjacji, z których kilka Miles musiał prowadzić ze szpitalnego łóżka. Po pierwsze, Janine życzyła sobie, żeby to on uroczyście „odał” ją nowemu mężowi, co wydało się Milesowi pomysłem tak absurdalnym, że dostał ataku śmiechu, zanim się

zorientował, że ona mówi poważnie. Janine natychmiast poczerwieniała z gniewu i urazy. – Po prostu chciałabym, żebyśmy załatwili to jak przyjaciele – warknęła. – Co w tym złego.

Przyjaciel. *Amicus*, drugi rzeczownik, taki odmieniali na lekcji łaciny (pierwszym był *agricola*, rolnik, co Milesowi wydało się dziwne, bo sugerowało, że w normalnym porządku rzeczy człowiek bardziej potrzebuje słowa „rolnik” niż słowa „przyjaciel”).

– Może wystarczy, że się zjawię i będę się dużo uśmiechał? – zaproponował. – Czy to wystarczająco przyjacielskie?

Z oczu jego byłej żony pociekły łzy. – W porządku – powiedziała. – Widać sama będę musiała się oddać. – Miles pomyślał, że to nawet dość dokładnie ujmuję istotę rzeczy.

Jeżeli Janine ustąpiła łatwo w kwestii jego udziału, stało się tak dlatego – o czym Miles dowiedział się wkrótce – że zamierzała stoczyć inną, ważniejszą bitwę i – chcąc liczyć na powodzenie – potrzebowała w tym jego pomocy, albowiem jej córka miała równą co Miles niechęć do odgrywania dramatycznych ról w czasie ślubu swej matki. Ale tu Janine była nieustępliwa. – Przysięgam na Boga, Miles, lepiej namów ją, żeby została moją pierwszą druhną. Wiem, że potrafisz, więc mówię ci z góry – bierz się do tego od razu.

Miles próbował ją przekonać. – Nie można zmuszać jej do czegoś, czego nie chce.

Na co Janine odparła: – Ja jej wcale nie zmuszam. Dałam jej nawet wybór. Albo to

zrobi, albo pożałuje. – I z miejsca, na sali szpitalnej, wybuchnęła łzami i zaniósł się rykiem, aż Miles dał za wygraną i obiecał, że spróbuje.

Janine płakała tak żałośnie, że Miles podejrzewał, iż przeżywa jakieś załamanie nerwowe. – Wiesz, że nie mam na świecie ani jednej przyjaciółki, Miles. – Pociągała teraz nosem, zmęczony się już płaczem. – Jeżeli ona nie zechce zostać moją druhną, będę musiała poprosić matkę. Nie zmuszaj mnie do tego, Miles. Wiem, co po tym wszystkim musisz o mnie myśleć, ale jeżeli kiedykolwiek coś do mnie czujesz, nie każ mi stać w dniu mojego ślubu między Beatrice i Waltem. Sędzia może się pomylić i pożenić tych dwoje.

Układ, który Miles wynegocjował z córką, był skomplikowany, ale z grubsza polegał na tym, że ona zostanie druhną matki i będzie udawała, że jest jej z tego powodu przyjemnie, pod warunkiem, że na weselu nie będzie musiała tańczyć ze Srebrnym Lisem. Miles obiecał również zabrać ją do Bostonu na wystawę van Gogha, co zrobiłby i tak. Później dowiedział się, że córka osobno załatwiła sobie u matki otwarcie konta e-mailowego.

– To jak, będzie z tobą w porządku? – zapytała Janine wprawiając go w chwilowe zmieszanie. Czy pytała, jak zniesie jej miodowy miesiąc? – Znaleźli w końcu, co ci jest?

Nie znaleźli. Tamtej niedzieli wrócił jakoś wieczorem do mieszkania, ale kiedy zajął do niego brat (Bea zadzwoniła, prosząc, żeby to zrobił), Miles był w delirium. Na pogotowiu jego gorączka i delirium – akurat po zjedzeniu hamburgera – sugerowały zatrucie bakterią *E. coli* albo może wirusowe zapalenie opon mózgowych. Przyjęli go więc do szpitala i trzymali przez kilka dni na obserwacji, chociaż następnego rana gorączka ustąpiła i jego stan zaczął się wyraźnie poprawiać. Pod koniec pobytu pół tuzina lekarzy, którzy badali go i robili mu analizy krwi, nie miało ani trochę większego pojęcia o diagnozie. Jako ludzie o wykształceniu medycznym nie mieli zwyczaju szukać odpowiedzi w duszy pacjenta, zaś Miles nie miał jakoś ochoty pytać, czy jego stan może się wiązać z faktem, że ostatnio nawiedzają go duchy. (...)

Zza rogu wyszła Tick i pięła się pod górę w stronę restauracji. Może się Milesowi wydawało, ale pod swoim plecakiem trzymała się teraz jakby prościej. W ciągu tych ostatnich dni, kiedy Janine i Walt spędzali swój miodowy miesiąc na wybrzeżu, najlepsze było to, że Miles mógł zamieszkać w domu, żeby Tick nie zostawała sama na noc. Spał na sofie i wracał do swojego mieszkania, żeby wziąć prysznic, ale mimo wszystko dziwnie było znów mieszkać w domu, który przez tak wiele lat był jego domem. Robił wszystko, żeby nie czuć rozgoryczenia z powodu utraty tego miejsca i po prostu cieszyć się towarzystwem córki, co mu się na ogół udawało. Jednak Tick dość nierówno dzieliła swą uwagę pomiędzy ojca a klawiaturę komputera, w którą stukala zapamiętałe, a spotkany na Martha's Vinyard chłopak odstukiwał zaraz z Indianapolis. Kiedy napisał do niej dwa tygodnie wcześniej, załączył swój adres e-mailowy i najwyraźniej mogli jakoś rozmawiać ze sobą bezpośrednio, równocześnie, z klawiatury do klawiatury. Co za intymność. Od czasu do czasu Miles, czytając w sąsiednim pokoju książkę, słyszał, jak jego córka rechoce z czegoś, co napisał chłopak, a kiedy do niej zaglądał, jej twarz promieniała przed ekranem monitora – najwyraźniej dziewczyna w szponach

cybernetycznego romansu. Czy coś takiego może być naprawdę? Miles doszedł do wniosku, że może, o ile tylko zmniejsza wagę jej plecaka.

Tego popołudnia u jej boku sunęła wysoka, niezdarna postać Johna Vossa, który miał pomagać wieczorem przy przyjęciu Davida. Dziwna z nich była para – jego córka i John – ale wydawało się, że naprawdę prowadzą rozmowę, co nie powinno wcale zaskakiwać, a jednak zaskakiwało. W pewnym sensie było dziwniejsze, że Tick rozmawia z tym osobliwym chłopakiem idącym tuż koło niej, niż że prowadzi co wieczór za pośrednictwem klawiatury konwersację z chłopakiem odległym o tysiąc mil. Kiedy dotarli do restauracji, John Voss, niemy i nerwowo jak zawsze, poszedł zaraz na zaplecze, do swoich brudnych garnków i talerzy. Pracował w Empire Grill już od trzech tygodni i, jak Miles przewidywał, okazał się dobrym, solidnym pomocnikiem kuchennym. Czasami, w weekendy, Miles marzył, żeby miał jeden bieg więcej, ale chłopak pracował systematycznie i sprawnie, choć bez pośpiechu. Wykonywał polecenia i Miles nauczył go nawet, jak oczyszczać z zaschłego mydła mechanizm myjni Hobart. Chociaż

jednak John odpowiadał, kiedy się do niego zwracano, nie sposób go było wciągnąć w normalną rozmowę. Kiedy Miles dał mu pierwszy czek, chłopak patrzył na niego, jakby nie wiedział, do czego taka rzecz służy, i dopiero po chwili Miles domyślił się, że John nie ma pojęcia, jak zamienić czek na gotówkę, więc sam zaprowadził go do banku Empire National, pomógł mu otworzyć konto oszczędnościowe i pokazał, jak zapisywać wpłaty. Chłopiec zdołał wyrazić wdzięczność – choć dosyć niemrawo – lecz kiedy zjawił się następnego dnia w pracy, nie przywitał Milesa uśmiechem ani w ogóle nie dał mu poznać, że go dostrzega, tak jakby poprzedniego dnia nic się nie wydarzyło. W ciągu trzech tygodni ich znajomości John Voss ani razu nie spojrzał Milesowi w oczy i nawet Charlene niewiele z nim wskórała.

Tick pocałowała wujka i zrzuciła na ziemię plecak z łoskotem, od którego zadzwoniły szklanki i filiżanki, a potem uściśnęła ojca jednym ze swych szybkich, bocznych uścisków.

– Hejże, małeństwo! – ryknął Walt, obracając się na stołku barowym i wyciągając ręce. – A mnie się nic nie należy?

Tick zdawała się nie zauważać ani faceta, ani wydawanych przez niego dźwięków. Najwyraźniej zainstalowanie przez Walta e-maila w jej komputerze nie zarobiło mu żadnych dodatkowych punktów. – Znów coś z „Annałów Miasta Empire” – oznajmiła ojcu Tick. – Widziałeś nowe ogłoszenie u Lamplightera?

Miles starał się przypomnieć sobie, czy w ostatnich tygodniach przejeżdżał koło konkurencji, a potem potrząsnął głową.

– Nowa specjalność zakładu: „Kurczak duszony sosem barbecue”.

Miles zachichotał, zastanawiając się, czy sam by na to wpadł. – Chyba bardziej po ludzku byłoby po prostu odrąbać mu głowę, co? – Potem naszła go zupełnie inna myśl, jako że Lamplighter znajdował się przy samej szosie do Fairhaven. – Kiedy tam byłaś?

– Wielu moich przyjaciół ma już prawo jazdy – odpowiedziała, nalewając dużą colę dla siebie i drugą, jak sądził, dla Johna. – Nic się nie martw. Nie byłam w motelu.

– Wcale tak nie myślałem. – Uśmiechnął się, słysząc „wielu moich przyjaciół”. Jeszcze

nie tak dawno mówiła mu, że nie ma żadnych przyjaciół. Teraz miała wielu, niektórych z prawem jazdy, innych aż w Indianie.

– Moglibyśmy pojechać do Bostonu w przyszłą niedzielę? Van Gogh będzie otwarty jeszcze tylko przez dwa tygodnie.

– Jeśli twój wujek zgodzi się posmażyć jajka w niedzielę rano. – Zastanowił się. – Czy Indiana Jones też planuje niedługo wycieczkę do Bostonu?

– W przyszłą niedzielę – przyznała, starając się nie uśmiechać. Najwyraźniej tak samo spodobało jej się, że na to wpadł, jak jemu podobały się jej kurczaki duszone sosem.

– Ten chłopak to też miłośnik van Gogha?

– Donny – powiedziała, znikając na zaplecze. Zanim drzwi zdołały się zamknąć, Miles zauważył Johna Vossa klęczącego przed myjnią, z której otwartych drzwi buchały chmury pary. Chłopak wpatrywał się we wnętrze maszyny ze szpikulcem do lodu w ręku.

Przełożył JAROSŁAW ANDERS

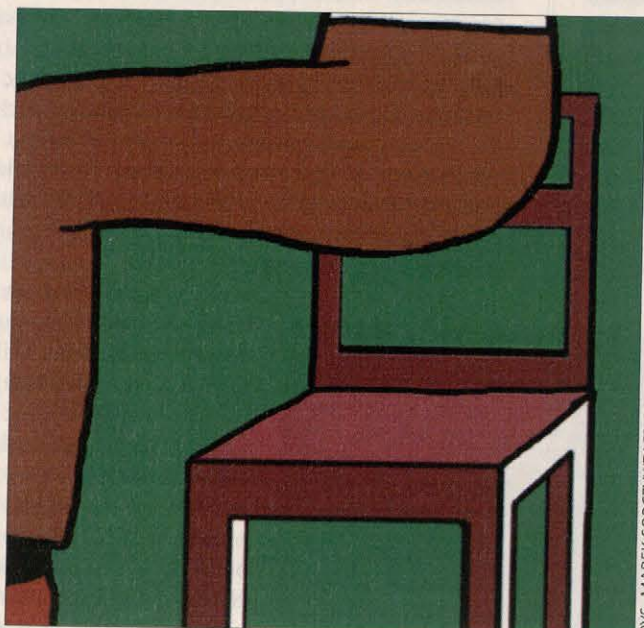
Tytuł fragmentu powieści pochodzi od redakcji



Kici Kici

Jak powiedzieć, że ktoś opływa w dostatki

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów w różnych językach świata



rys. MAREK SOBCHYZAFRYKI

- w Polsce: CZUĆ SIĘ JAK PĄCZEK W MAŚLE
- w Japonii: ZEITAKU-O TSUKUSHITE (czerpać pełną garścią ze zbytku)
- w Wielkiej Brytanii: BE SITTING PRETTY (ładnie siedzieć), BE LOADED (być załadowanym), BE IN CLOVER (przebywać w koniczyźnie)
- w Hiszpanii: ESTAR FORRADO (być wytapetowanym), VIVIR COMO UN REY (żyć jak król), VIVIR A CUERPO DE REY (żyć w skórze króla)
- we Włoszech: ESSERE PIENO DI SOLDI (być pełnym pieniędzy), NUOTARE NELL'ABONDANZA (pływać w dostatku), NUOTARE NELL'ORO (opływać złotem)
- w Portugalii i Brazylii: ESTAR CHEIO DE GRANO/DE PASTA (być pełnym ziarna)
- w Niemczech: WIE DIE MADE IM SPECK (być jak robak w boczku)
- w Turcji: BIR ELI YAĞDA BIR ELI BALDA OLMAK (mieć jedną rękę w tłuszczu, a drugą w miodzie)
- we Francji: ÊTRE COMME UN COQ EN PÂTE (być jak kogut w cieście – nie chodzi tu bynajmniej o rozkosz, jaką odczuwa zwierzak – porównaj wyrażenie niemieckie – ale o przyjemność, jaką będzie odczuwać osoba go spożywająca)
- w Szwecji: KOMMA UPP I SMÖRET (wzniesić się w maśle)
- w Iranie: RU-JE TOSZAK-E PAR-E QU ZENDEGI KARDAN/CHĀBIDAN (spać na materacu z łabędziego puchu) lub DAR LEHĀF-E PAR-E QU CHĀBIDAN (spać pod kołdrą z edredonu)

PIATKA KLEPKA

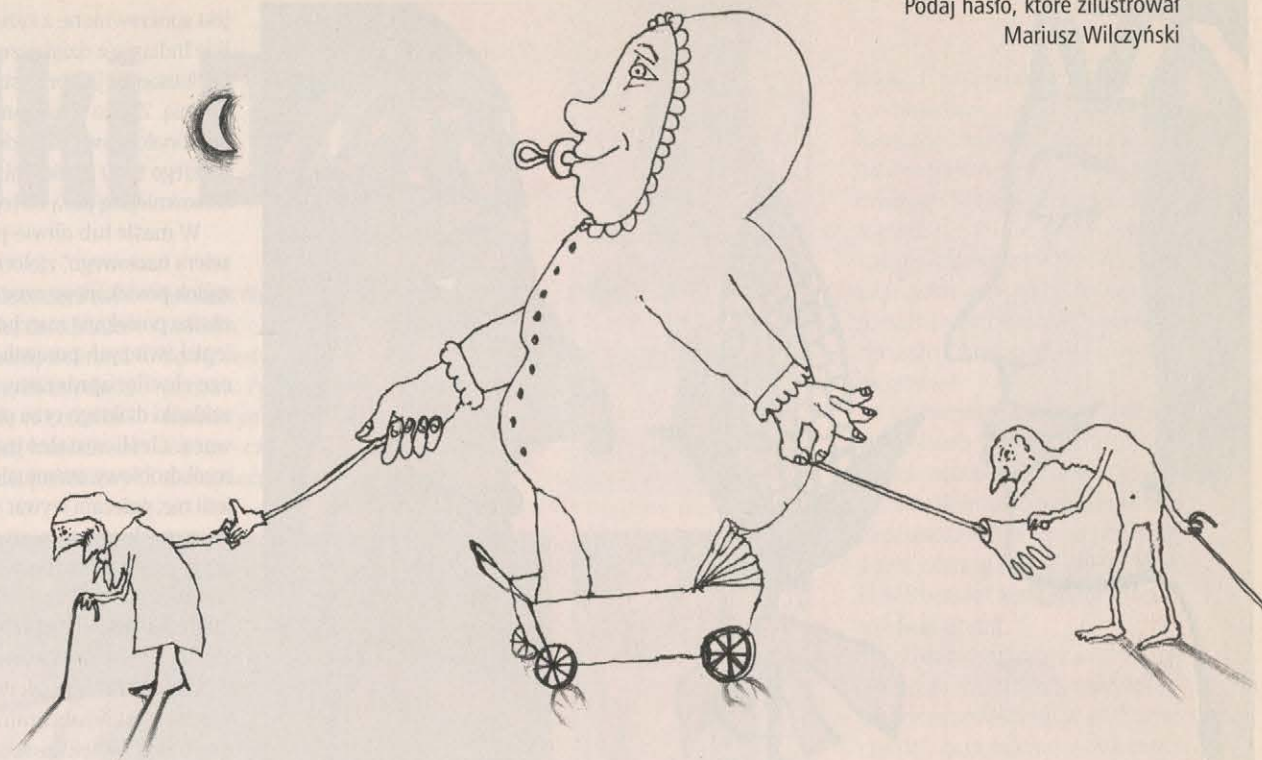
W jednym z poprzednich numerów zaprezentowaliśmy hasła reklamowe promujące poszczególne państwa (na przykład dla Kolumbii: Kupuj nasze produkty! Wygraj podróż do nieba!). Jak nam doniesiono, hasła wywołały sprzeczne reakcje, szczególnie wśród przedstawicieli niektórych narodowości. Dlatego postanowiliśmy ograniczyć się wyłącznie do promowania naszego kraju, którego turystyczne atrakcje doskonale wytrzymują konfrontację z najbardziej rozreklamowanymi zakątkami świata. Oto kolejna seria haseł.

- To nie Karaiby. To grzyby.
- To nie Jamajka. To zalewajka.
- To nie Mulatka. To swojska dziełatka.
- To nie Seszele. To msza w kościele.
- To nie Hawana. To kasza gryczana.
- To nie Sumatra. To wieje w Tatrach.
- To nie Malediwy. To Chrystus frasośliwy.
- To nie Majorka. To krecia norka.
- To nie Riwiera. To miotła i ściera.
- To nie Ibiza. To pyza.
- To nie praska secesja. To praska agresja (z warszawskiej Pragi).
- To nie piramida. To napis: „Bij Żyda”.
- To nie Wenecja. Tonie Wrocław.

TOMASZ PIĄTEK

Za 1000 złotych nie można (na mundialu) • kupić biletu na wszystkie mecze polskiej drużyny plus finał; taki karnet kosztuje około 10 tysięcy złotych • kupić biletu lotniczego do Tokio ani do Seulu; dogodne połączenie bez promocji kosztuje około dziewięciu tysięcy złotych • obejrzeć na żywo finał mistrzostw; bilet kosztuje ponad trzy tysiące złotych • wynagrodzić jednego zawodnika reprezentacji Polski za ewentualne zdobycie złotego medalu; przewidziane wynagrodzenie to 150 tysięcy dolarów – około 615 tysięcy złotych • wynagrodzić najlepszego piłkarza rosyjskiego w danym meczu; otrzyma on wart 100 tysięcy dolarów Porsche Boxter – Rosjanie przygotowali siedem samochodów • wykupić prawa do transmitowania meczów z udziałem Polaków oraz półfinałów i finałów; TVP zapłaciła za to Polsatowi siedem milionów dolarów (prawie 30 milionów złotych) • opłacić pobytu w hotelu Daajen (15 kilometrów od jednego ze stadionów) w Korei przez cały mundial; wystarczy nam tylko na pięć dni pobytu • mieszkać przez cały mundial w jednoosobowym pokoju hotelu drugiej klasy w Kobe w Japonii; możemy spędzić tam tylko dwie i pół doby • zapłacić za piłki na wszystkie mecze Polaków; jedna nowa mundialowa piłka kosztuje 100 dolarów (ponad 400 złotych) – nie wiadomo, ile będą kosztowały po meczu, zwłaszcza finałowym.

Obraz wyrażen



Odpowiedz: Prowadzić kogoś za rękę

Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński

Ma głupich pytań

Stefania Grodzieńska (z Warszawy) pyta Stefanię Grodzieńską



rys. MAREK SOBCHYZAFRYKI

Wszyscy już myślą o wakacjach, dokąd wybiera się Pani w tym roku?

Ponieważ czytelnicy ciągle jeszcze myślą nad pierwszym pytaniem, postanowiłam tym razem zadać je sobie sama. Liczę na oryginalne i dające mi do myślenia pomysły, więc to ostatnia okazja, żeby pobić rekordy banału. Wobec tego zwracam się sama do siebie: „Wszyscy już myślą o wakacjach, dokąd wybiera się Pani w tym roku?”

- Mogłam się jeszcze zapytać:
- Jak ma Pani pierwsze wspomnienia z dzieciństwa?
- Czy lubiła Pani szkołę?
- Czy nie brakuje Pani przedwojennych kabaretów?
- Skąd czerpie Pani pomysły na książki?

- Czy w domu też jest Pani dowcipna?
- Jak ma Pani najbliższe plany wydawnicze?
- Co sądzi Pani o polityce?
- Czy Pani zdaniem dzisiejsza młodzież rzeczywiście jest taka okropna?
- Co Pani sądzi o klonowaniu, przyprawianiu bigosu kminkiem i biciu dzieci?
- Czy profesor Bralczyk jest sympatycznym człowiekiem?
- Czy zastanawia się Pani, dokąd zmierza świat?
- Czy zna Pani osobiście Bogusława Lindę?
- Co Pani myśli o sytuacji polskiego filmu? Teatru? Literatury? Kultury?
- Czy jest Pani euroentuzjastką?
- Jak długo gotować jajko, żeby było na miękko?

A na zadane na początku pytanie, dokąd pojedzie na wakacje, odpowiadam: nie zamierzam ruszać się z domu.

Stefania Grodzieńska



rys. MAREK RACZKOWSKI



RYŚ. MARIUSZ WILCZYŃSKI

Kuchnie Indian

Kiedy jem dziki ryż zalany syropem klonowym, czuję, jak bardzo chciałbym być Indianinem

Zapytałem kilkanaście osób, które nigdy nie odwiedziły żadnej z Ameryk, z czym im się kojarzy kuchnia indiańska. Większość odpowiedziała, że z bizonami. Jedna osoba wymieniła niedźwiedzie, inna kukurydzę. Zdziwił mnie ten brak orientacji, zwłaszcza że trzy czwarte z uprawianych na świecie roślin jadalnych pochodzi z Ameryki, czyli – z kuchni Indian. Rozmaite odmiany fasoli i kukurydzy, ziemniaki, dziki ryż, modne wśród jaroszy zboże *quinoa* – wszystko to zawdzięczamy Indianom. Nawet chipsy i prażoną kukurydzę.

Dieta plemion indiańskich zależała od terenu, jaki zamieszkiwały. Na wielkich preriach środkowego zachodu Stanów Zjednoczonych

obfitość bizonów sprawiła, że były one jednym z głównych składników diety tamtejszych szczepów. Planowa eksterminacja bizonów przez białych była aspektem wojny gospodarczej: powstawały wtedy wielkie zakłady mięsne w Chicago i Milwaukee i chodziło o to, żeby zmusić Indian do kupowania wołowiny. Do dziś w indiańskich książkach kucharskich nie figurują żadne przepisy na dania z wołowiny – zamiast mięsa bizonów poleca się dziczyznę. Bojkot trwa.

Olbrzymia różnorodność klimatyczna Ameryk spowodowała, że kuchnia, dajmy na to, Irokezów niewiele ma wspólnego z kuchnią Indian Pueblo z Arizony i północnego Meksyku. Trudno zatem mówić o kuchni Indian jako czymś jednorodnym i spójnym, lecz pomimo regionalnych różnic istnieje ważna cecha wspólna. Jest to kuchnia ludzi czczących przyrodę, doskonale rozumiejących własne miejsce w łańcuchu ekologicznym. Między innymi dlatego tak bardzo mi się podoba. Lecz są oczywiście i inne tego przyczyny, bliżej związane z przyjemnościami stołu niż światopoglądem. Jest bowiem kuchnia Indian kwintesencją prostoty i kulinarne go rozsądku, te zaś przymioty cechują większość z moich ulubionych dań.

Oto jedno z nich: zupa z dzikiego ryżu. Dzikie ryż to nazwa myląca, ponieważ zwane tak rosnące w wodzie ziarno (*Zizania aquatica*) nie

jest spokrewnione z ryżem. Tradycyjnie zbierali je Indianie z dzisiejszej Minnesoty, wypływając kanoe na jeziora i stawy porośnięte czarną zizanią. Zbliża się sezon grzybowy, a ponieważ doskonałość swą zawdzięcza ta zupa połączeniu dzikiego ryżu z leśnymi grzybami, lato jest najstosowniejszą porą na jej warzenie.

W maśle lub oliwie podsmażamy po garści selera naciowego, zielonej papryki, cebuli oraz ząbek posiekanego czosnku. Dorzucamy drobiutko posiekaną marchew i garść grzybów, najlepiej świeżych borowików. Podsmażamy jeszcze chwilę, oprószamy mąką i dodajemy pół szklanki dzikiego ryżu oraz cztery szklanki wywaru. (Jeśli zostałeś już Indianinem, dodasz rosół drobiowy, ewentualnie wywar z dziczyzny; jeśli nie, polecam wywar wołowy). Doprowadzamy zupę do wrzenia, zmniejszamy gaz i gotujemy godzinę, aż ryż będzie miękki. Można zaprawić kilkoma łyżkami chudej słodkiej śmietanki i/lub dwoma łyżkami wytrawnego kseresu – lecz nie będzie to wówczas zupa indiańska.

Czy coś takiego jak domowej roboty chipsy, w ogóle jest wyobrażalne? Nie wiem – ale być powinno. Większość potraw zaliczanych do *junk food* to trawestacje tradycyjnej kuchni domowej. Chipsy są wszak wyjątkiem – wynalazł je na przełomie XX wieku indiański kucharz George Crum z plemienia Mohawków. Był on szefem kuchni w luksusowym sanatorium w Saratoga Springs w stanie Nowy Jork, a chipsy powstały, kiedy klient odesłał do kuchni frytki, bo były za grubo pocięte. Obieraczką do warzyw Crum pokroił ziemniaka na cienkie plasterki, usmażył je na głębokim oleju i – *voilà*. Chipsy na ciepło to wielki przysmak, zwłaszcza jeśli podamy je z tatarskim z sosem i oliwą szczypiorkową.

Bardziej przypadkową genezę ma prażona kukurydza. Ktoś upuścił zgotowane z kolby kukurydzy ziarno na żarzące się węgielki, a skutek tego nieszczęścia nie dał długo na siebie czekać. Ze źródeł historycznych wynika, że w roku 1621 wódz Quadequina przyniósł na ucztę dziękczynną kwintal prażonej kukurydzy, najprawdopodobniej usmażonej w niedźwiedzim sadle.

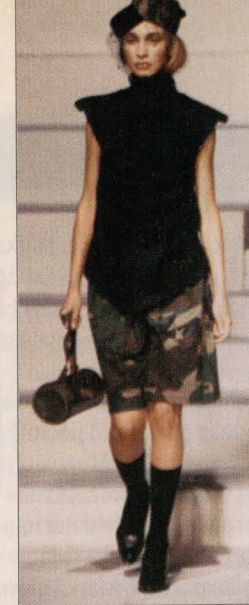
Z duszą na ramieniu proponuję Państwu deser z dzikiego ryżu. Obawy moje biorą się stąd, że większość moich rówieśników ze wstrętem myśli o deserach z ryżu podawanych w barach mlecznych, stołówkach szkolnych bądź domach wypoczynkowych Funduszu Wczasów Pracowniczych. Rozgotowany ryż na zimno, wytłany w kwaśnej śmietanie, posypany cukrem lub dosłodzony dżemem, to dla wielu osób kulinarna kwintesencja realnego socjalizmu. Przyznam ze wstydem, że sam lubiłem takie desery. Lecz nie tak bardzo, jak lubię dziki ryż na zimno, skropiony (lub – rzecz gustu – zalany) syropem klonowym. Jedząc taki ryż, czuję, jak bardzo chciałem za młodu zostać Indianinem.

TADEUSZ PIÓRO

Wilki Dwa

Słuchajcie, jest dobrze. Przynajmniej w jednej dziedzinie. Obrodziło naprawdę dobrymi kolekcjami bardzo dobrych młodych projektantów. Odbył się w Łodzi organizowany przez Międzynarodowe Targi Łódzkie najbardziej prestiżowy

konkurs dla projektantów ubioru „Złota Nitka”, tym razem jubileuszowy, bo 10. Jest to konkurs w dwóch kategoriach: *Prêt-à-Porter* – czyli rzeczy konfekcyjne, do noszenia – i *Premier Vision* – czyli odlotowe, fantazyjne, niekoniecznie użytkowe. I wiecie,



FOT. ROBERT KULESZA (4)

młodzi projektanci dotychczas z ulubieniem obstawiali tę drugą kategorię i szaleli, zresztą czasem bardzo pięknie, bo fantazji im nie brakuje. Nieraz człowiek sobie myślał, no, fajnie, ale co będzie, kolego, jak cię życie zmusi, żebyś zaprojektował jakiś sweter czy płaszcz, w którym nie będzie się chodziło na szczydach i z ogniem na głowie?

Aż tu zmiana. Prawie szokująca. Pokazały się bardzo interesujące kolekcje *Prêt-à-Porter*. Odważne, wszak to konkurs, nawet bardzo, ale są tam świeże pomysły, a o to zawsze na świecie trudno, nowatorskie koncepcje ubrań, a jednak ubrań.

„Złotą Nitkę” za *Premier Vision* dostał Adam Karski, którego prezentowaliśmy w 14. numerze „P”, gratulujemy. A w kategorii *Prêt-à-Porter* dostały „Złotą Nitkę” Wilki Dwa, czyli Sylwia Wilk-Ślusarczyk i Marta Wilk-Krajewska, bliźniaczki, za znakomitą i przeżabną kolekcję „Tożsamość”. Są to bardzo ciekawe wariacje na temat pewnych form z ubiorów damskich, które przechodzą w męskie, i odwrotnie. Spodnie, które stają się spódnicą, suknią itp. Kolekcja ma silne akcenty militarne, a jest głównie czarna.

Autorki podjęły aktualny temat zmian tożsamości kobiety i mężczyzny, zmian ról, zmian form ubioru. Para ślubna to ona jako ostra żołnierska dziewczyna na czarno, a on na białą w sukni bez ramion i w małym kapelusiku z woalką. Do tego dobra krawiecczyzna i cenny w konfekcji minimalizm.

Nie chcę wymieniać nazwisk, bo kogoś pominię i będzie przykro, ale wyraźnie wybija się grupa młodych zdolnych projektantów polskich, kilka indywidualności o już dość określonym stylu. Widać ich na pokazach i konkursach, ale czy będą mieli szanse zaistnieć w realnym życiu?

HOFF

Zakopane. Czteroosobowa rodzina wracała z wycieczki. Matka trzymała za rękę córeczkę, ojciec synka. Wszyscy zadowoleni i uszczęśliwieni, bo widzieli niezwykle rzeczy. No tak. Ale dzieci są małe i już bardzo zmęczone, więc rodzina uprawia autostop. Stoją na odpowiednim skrzyżowaniu, ale nic.

Zresztą może kierowcy widzą, że ich aż czworo, i dlatego się nie zatrzymują. Bo chyba nie boją się ludzi z małymi dziećmi? Może boją się małych dzieci? Może jadą gdzieś blisko? Może po prostu nie biorą autostopowiczów z zasady? Takie rozważania nie mają żadnego sensu, ale trudno ich nie uprawiać, kiedy dzieciom kleją się oczy.

W pewnej chwili mijają ich czerwony samochód. Marka nieważna. Czerwień aż razi. Mija i nieco zwalnia. Ale nie. Odjeżdża. Rodzice trochę się martwią. Opowiadają historyjki, omawiają wycieczkę, na której byli. Jednocześnie machają. Nic.

Wreszcie kierowca, który nie ma nic przeciwko temu, żeby zabrać matkę z córką. Zabiera je i odjeżdża. Mężczyzna z chłopcem zostają. Pojawia się czerwony samochód. Chyba go już widzieli. Przejeżdża koło nich i zwalnia. Ale znowu odjeżdża. W oddali zakręca. Widzą, że zawraca. Mija ich wolniutko i nic. Ojciec z synkiem nie znają kierowcy ani jego pasażerki, więc nie rozumieją, dlaczego oni tak jeżdżą w kółko i się im przyglądają.

Samochód jednak się zatrzymuje i ich zabiera. O co chodzi? Kierowca piękną słąską gwarą wyjaśnia, że żona zmyła mu głowę, że nie zabrał kobiety z dzieckiem. Jak mógł? Więc oddalili się, żeby specjalnie przepakować bagaże i wrócić po tę panią z córeczką. Kiedy wrócili, kobiety nie było widać. Dlatego, szukając jej, objechali plac. Ale skoro jej nie ma, a oni już się przepakowali i zawrócili, zabierają mężczyznę z synkiem. Zaczęli się śmiać, kiedy zrozumieli, że właśnie robią coś także dla tamtej kobiety z dziewczynką.

Małgorzata Baranowska

„To **przez** ciebie” – dowiaduję się. Nie wiedziałem, że byłem sprawcą, powodem, przyczyną. Na pewno: nie zrobiłem. Ale pewnie: zawiniłem.

Przez użycie „przez” można wywołać poczucie winy albo tylko sprawstwa. Często nie o mnie samego chodzi, ale o coś mojego. To się stało **przez** zaniedbanie. **Przez** lenistwo. **Przez** głupotę wreszcie. Ale nie **przez** mądrość, pracowitość uwagę. **Przez** to, co niedobre? Nie zawsze: chodzi bardziej o to, że niedobre jest to, co się stało. **Przez** moją miłość znenawidziła mnie. Ale jak ja jej nienawidzę, a ona mnie kocha, to już nie będzie **przez**.

A dawniej było i dobre **przez**. „Przez miłosierdzie Chrystusa, prze-



bacz!” (to Chilo do Glauka). **Przez** względ na to i tamto robię różne rzeczy do tej pory. Czyli: żeby było dobrze.

Nie wiem, dlaczego, **przez** co, dzisiejsze „przez” nie jest najlepsze. „Dzięki” jest dobre, a „przez” – nie. Czasem tylko – neutralne. Za takie jest **przez** nas uważane.

A poza tym to takie niewinne słowo oznaczające, że z jednej strony na drugą. **Przez** pola, **przez** las. **Przez** most. **Przez** rzekę. Most **przez** rzekę. Rzeka **przez** miasto. Czasem idę albo biegnę **przez** jak rzeka **przez** miasto. Skaczę **przez**, jak nie pamiętam już kto **przez** płot. Czasem mam coś **przez** jak sąsiada **przez** ulicę. Albo widzę – jak teraz – ogród **przez** okno.

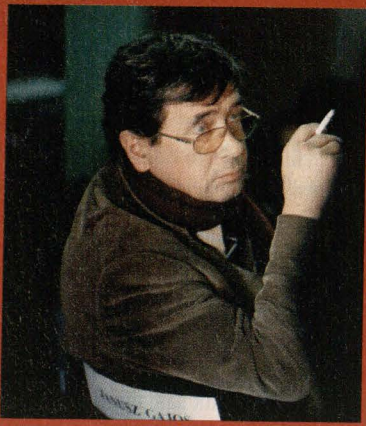
Przez jakiś czas. Jeszcze **przez** chwilę. Już nie.

Jerzy Bralczyk

...i znajdź 15 szczegółów, którymi różnią się rysunki Ignacego Czwartosa – rozwiązanie na s. 73.

WYŹ WZROK...





FOT. Radosław Bugalski/AG

Z wiekiem mądrzeje

Janusz Gajos, aktor, w rozmowie z Marią Czubaszek

Austriackie gadanie! Dobrze powiedział Oscar Wilde. Że Bóg, tworząc człowieka, przecenił chyba swoje zdolności.

– Myślę, że człowiek nie jest jeszcze „dziełem” ostatecznym.

Nie kracz!

– Jestem raczej dobrej myśli.

Że ludzie będą coraz lepsi?!

– Mijmy nadzieję. Że przynajmniej część idzie w dobrym kierunku.

Ale w demokracji decyduje większość.

– Niestety. To jest jej wada. Bo większość nie zawsze jest najmądrzejsza.

Powiedziałabym, że wprost przeciwnie. A ponieważ w demokracji głos kretyna liczy się tak samo jak głos mądrego...

– Wierzę, że będzie coraz więcej tych drugich.

Wiara czyni cuda. Jest na to coraz więcej dowodów, niestety. Na przykład w show-biznesie.

Wszyscy, którzy zgłosili się do programu „Idol”, wierzyli, że mogą nim zostać. I niektórzy zostaną. Co o tym myślisz?

– Że nie trzeba dużo, żeby zyskać popularność.

To cię nie martwi?

– Nie moje zmartwienie.

Też nie moje, ale też dobre (bo Altmana): „Rzemieślnik może być artystą, ale artysta musi być rzemieślnikiem. Talent bez rzemiosła to za mało”. Zgadzasz się z tym?

– Absolutnie.

A zgodzisz się, że jednak coraz bardziej w cenie jest zawód – amator?

– Wszystko można przecenić.

W ramach promocji?

– Podobno ma to być zakazane.

W supermarketach. Nieważne. A co jest dla Ciebie najważniejsze? Z czego najtrudniej byłoby Ci zre-

zygnować? Dla ułatwienia: chodzi o przedmioty.

– Nie jestem do nich specjalnie przywiązany. Choć mam na przykład swój ulubiony zegarek.

A komputer?

– Doceniam jego przydatność.

Ale nie wciągnął Cię jak odkurzac?

– Nie. Odkurzac zresztą też mnie nie wciągnął.

Rozumiem Cię, bo dla mnie to przedmioty jednorazowego użytku. Oba użyłam raz i się nie zapalałam. Widocznie nie mam nic z nałogowca.

Ale mam inne pytanie. Zrobiłeś coś, czego byś drugi raz nie zrobił?

– Zdarzyło się.

Możesz dać przykład?

– A mogę nie?

Oczywiście.

– No, więc były to oczywiste pomyłki, potknięcia, których drugi raz bym nie popełnił. Człowiek z wiekiem mądrzeje.

Czy ja wiem? Na pewno to z wiekiem się starzeje.

– Też. Ale nie myślę o młodości z sentymentem. Ciało było sprawniejsze, ale byłem głupi jak but. W każdym razie miałem dużo cech, których teraz bym nie lubił.

A teraz lubisz siebie?

– Bardziej. Niż tego z młodości.

A im bardziej poznajesz ludzi?

– Tym bardziej trudne wydaje mi się przykazanie: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Może dlatego, że jestem daleki od zaskochania się w sobie?

Dobre pytanie. Szkoda, że nie moje.

– Ty zadajesz inne.

Dziękuję. I za tę krótką rozmowę.

– Nieważne czy krótka, czy długa, byle dobra. A najlepsze, że wyjdę w tej rozmowie na małego, tajemniczego, wysokiego blondyna.

TEŻ NIE SŁYSZYMY „TRÓJKI”

Panie wiceprezesa zarządu Polskiego Radia do spraw programowych, co ma zrobić moje pokolenie, które, jak Pan twierdzi: „to przedstawiciele inteligencji po czterdziestce, którzy wychowali się na »Trójce«”? (A czy to wstyd?). Co ma zrobić, Panie Eugeniuszu, moje pokolenie, które nie zdążyło jeszcze wy-

mrzeć i musi znosić te przemiany czy – jak Pan to ośmiela się nazywać – „unowocześnianie form dziennikarskich”? Mam w nosie takie unowocześnianie. Czy muszę koniecznie znosić ten chłam na każdej radiostacji? Kiedy pojawił się pierwszy przeraźliwie wrzaskliwy kanał, pomyślałam: No, dobrze... młodzi też muszą coś mieć od życia... a im treść i sens w tej codziennej gonitwie nie są specjalnie potrzebne.

Kiedy druga radiostacja przybrała tę samą formę... po prostu natychmiast rozprogramowałam radio, żeby już nie trafić na tę „kalke”. Pogodziłam się już z tym, że wciąż muszę czekać, prze-

czekać, wytrwać. Byłam spokojna, bo została mi jeszcze jedna radiostacja. „Trójka” była moją nadzieją na przetrwanie. Pozwalała mi wierzyć, że jeszcze nie wszyscy w tym kraju zdurnieli. I nagle co? Koniec... Zabrano mi ostatnią nadzieję. I jakim prawem odpowiada Pan za mnie, Panie Wiceprezesa Smolar, że dotych-

czasowa „oferta dzienna nie odpowiadała oczekiwaniom słuchaczy”? Doprawdy, dziwię się Panu, że posługuje się Pan takimi słowami.

Wyłączę radio w ogóle. Niech Pan uwierzy, że jeszcze w tym całym „disneylandzie”, który rozbestwił się wokół, a wielu „ważnych” ludzi doskonale mu w tym pomaga, są jeszcze ludzie, dla których myślenie ma sens. Ludzie, którzy

wiedzą, że pieniądź to nie wszystko i w życiu są ważne też inne wartości. A wszelkie obliczenia czy dane statystyczne nigdy nie wychodzą im na dobre, bo tak naprawdę nie dla ich dobra są robione, tylko dla czyjegoś interesu.

Dłużej nie mogłam milczeć. Pewnie i tak nic nie zmienią moje słowa, jednak sumienie pozostanie czyste. Już dość. Do tej pory byłam cierpliwa. Ale cierpliwość też ma swoje granice. Napisałam ten list, bo od jakiegoś czasu też „nie słyszę »Trójki«”.

Z życzeniami zawrotnych wyników słuchalności Polskiego Radia w ogóle

MAŁGORZATA KĘDZIERSKA

W „Przekroju” nr 20 z 19 maja br. został opublikowany wywiad Wojciecha Manna z wiceprezesem Zarządu Polskiego Radia SA Panem Eugeniuszem Smolarem.

Dziwi wprawdzie zestawienie wywiadującego z wywiadowanym, bo trwająca od roku antenowa degrengolada najpierw Pana W. Manna z anteny wyrzuciła, po czym przywróciła, co działo się za łaskawym przyzwoleniem, jeśli nie nakazem, rzeczonego wiceprezesa.

Pan E. Smolar pozwolił sobie w owym wywiadzie na bardzo prowokującą wypowiedź, którą cytuję: „Ile lat można klęczeć przed Andrzejem Waligórskim i jego osiągnięciami”, co można śmiało przełożyć na znacznie szerszy kontekst, zwłaszcza że A. Waligórski należy już do klasyki polskiego kabaretu.

To tak, jakby zapytać, ile lat można jeszcze klęczeć przed Kabaretem Starszych Panów czy obrazem Mony Lizy lub pielgrzymować do miejsc powszechnie uznanych za kultowe.

Odpowiedź brzmi: tak długo, jak tego życzą sobie sami klęczący, a nie przejściowo pełni-

cy funkcję wiceprezes Zarządu PR Eugeniusz Smolar, który nie ma ani moralnego, ani formalnego prawa dyktować polskiej inteligencji, czego mają czy nie mają chcieć słuchać ludzie czy to ze średnim, czy wyższym wykształceniem, niekoniecznie ze średnią krajową w kieszeni, w publicznym radiu, którego głównym źródłem utrzymania jest abonament.

To (na szczęście!) nie wiceprezes E. Smolar jest *spiritus movens* polskiej klasyki kultury, a jedynie przechodniem, którego owa klasa winna zmusić do myślenia i pokory własnej. Pełniona funkcja nie pozwala również na bycie *spiritus degredatio*, a wręcz przeciwnie, statutowo nakazuje stać na straży pielęgnowania dorobku pokoleń, które do kreowania kultury się przyczyniły.

JOANNA GROCHOWSKA,

Częstochowa

SPROSTOWANIE

W mojej rozmowie z profesorem Zbigniewem Religą i jego synem Grzegorzem („P” 10/2959) na skutek fatalnego zbiegu okoliczności przypisałem moim rozmówcom słowa wypowiedziane przez kardiologa Piotra Janikowskiego („Gazeta w Krakowie” z 14 lutego br.) dotyczące kwestii „kochania sercem, a nie rozumem”. Wszystkich zainteresowanych, w tym także naszą Czytelniczkę Reginę Janikowską, która zwróciła na to uwagę, przepraszam.

KAZIMIERZ TARGOSZ

Autorem „Listu z Rzymu” w numerze 22. „Przekroju” („Baggio, czyli Boski Kucyk”) nie jest – wbrew podpisowi pod tekstem – Piotr Kowalczyk tylko Piotr Kowalczuk. Przepraszamy za pomyłkę.

„PAN ZENEK, WESOŁY SANITARIUSZ” — ANDRZEJ MLECZKO



PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Maria Świątlik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędzińska

KULTURA:

Mianana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Marcin Baran, Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Ilig, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Magda Sendek, Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Agnieszka Litorowicz-Siebert, Filip Tobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ:

Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominika Szczepowicz, Dominika Raczowska

FOTOEDYCJA:

Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:

ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 25 25, faks (0-prefiks-22) 628 86 32

e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:

Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 22 00, faks (0-prefiks-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierała

WICEPREZES:

Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:

Agnieszka Smit

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Zochowsky

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:

Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

tel. (0-prefiks-22) 584 22 28, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczyński, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 19, tel. (0-prefiks-22) 584 22 94 faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:

Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PAPIER: okładka – LumiArt 90 g, środek – Sella Press 60 g; producent – Sora Enso

PRENUMERATA:

u Wydawcy Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel. (0-prefiks-22) 584 22 29 lub 584 22 30 faks (0-prefiks-22) 584 22 32

przez pocztę przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju

przez Ruch SA informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

KRZYŻÓWKA nr 23

POZIOMO:

- 1 zbożowy, górniczy, kuchenny
- 4 niebo dla diabłów
- 6 zostawia Humphreya
- 9 samotny bez Jurka, ogórka i kielbasy
- 10 patron malarzy i lekarzy
- 12 kozi na drzewo, barani na rok
- 16 warzywo w rzepaku
- 17 nad wyraz samodzielna
- 18 psie Adamy
- 19 czytelniczka pisma Miriama Przesmyckiego
- 23 mydlana, a nie pęka
- 24 płyta z koncepcją
- 25 muzułmanin koło Koła
- 26 dźwięk perfum
- 28 anielski bądź harcerski
- 29 zasadnicze między mężczyzną i kobietą
- 30 przysmak tatarski

31 rola jej wymaga

- 32 ojciec Copperfielda

PIONOWO:

- 1 alek opalek
- 2 i on przeciwko
- 3 butna nagroda literacka
- 4 oprowadzi połowę wycieczki
- 5 wystrzałowy skrótowiec
- 7 w korektorze i w gronostajach
- 8 po owocach ją poznać i po palcach
- 11 partner pchły Brzechwy
- 13 dobro do truskawek
- 14 Rzym winem płynący
- 15 każda olimpiada musi ją mieć
- 20 samczyk mrówki lub pszczoły
- 21 Tadeusz, który zniszczył sobie koszulę
- 22 na ulicy, na spódnicy
- 27 bolesny opad
- 28 bóg bogów

Rozwiązanie krzyżówki nr 20:

POZIOMO: 1. żupan 4. amper 7. entuzjazm 10. oskarżony 12. herbata 13. luna 14. marchew 15. list 18. Teksas 20. Spa 21. bociek 25. Ulm 26. Era 27. zator 29. fenig 30. Narew 33. lico 34. steward 35. Odys 36. trampki 38. nektaryna 40. pancernik 41. krata 42. Alina

PIONOWO: 1. żywopłot 2. parkanik 3. Negri 4. amory 5. Paganini 6. romantyk 8. zdyscyplinowanie 9. achte 11. ogar 16. natura 17. polana 19. Elba 22. Erie 23. Amfitrion 24. zegarek 27. załotnik 28. taczanka 31. rodzynek 32. westalka 37. papa 39. alka

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 18 nagrody wylosowali: **Juliusz Kołodziejczyk, Krynica; Andrzej Kulikowski, Eze, Francja; Jan Mack, Rzeszów; Barbara Oszmian, Łęborg; Irena Witos, Tarnowskie Góry. Gratulujemy!**

JOLKA nr 23

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

K11 – C3 – G17 / B14 – A17 – H5 – K8 – I9 / J3 – J15 – C14 – G8 – F2 – D13 / B12 – E14 – L2 / A6 – F13 – F7 – C16 – H11 – A10 – D9 – L15 – G3 / H2 – G13 – D2 – Ł10 / Ł7 – F9 – C5 – I17 – B2 – L4 – D3 – L6 – J10 – I15 – J2 / C1 – H12 – E5 – H9 – L8 – K12 – B8 – F6 – C12.

Wyrazy 13-literowe:

- uskrzydła wężyciela • element jej nie przeraża

Wyrazy 11-literowe:

- ciała, gdy uraz zadziała • kursuje z tlenem

Wyrazy 8-literowe:

- zawartość zniechęcającej łyżki • trzęsie się pierwszy • taniec z księżniczką • kurza kaligrafia • morze z widokiem na dożę • ludowy lub Maigret

Wyrazy 7-literowe:

- przykut do buty • Danusi ci on był • pracuje, żeby ciuciubabka miała na czym stać • niecała klika ze strony Królika • zrzuciona skóra pory

Wyrazy 6-literowe:

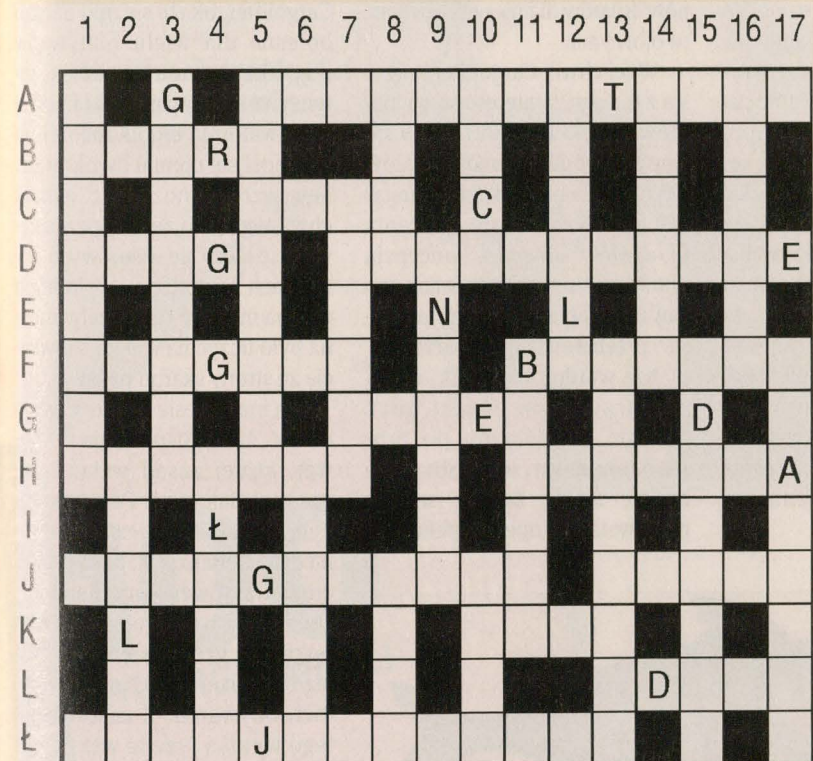
- odbija z pominięciem wampira • zarzuca ne oku • śliwki w mącznych kreacjach • skry w sprayu • rozreklamowany przez Dziewicę • z tacy na tacy śpieszy • według geocentryka – bryka • czarny na kanapce

Wyrazy 5-literowe:

- z czapli na czapkę • leszczynowy gwałt • jeśli nie znajdziesz jej w medytacji, to cóż... szukaj w kalendarzu • hiszpański Batman • go go wciąga

Wyrazy 4-literowe:

- błędny też przewodzi • Hudson (obsadzany w rolach bez rolla) • wynalazł i zadzwonił • ostatnia impreza heretyka • okularom dom • niedokończony most przez morze



AUTOR: JERZY BUCZEK

Rozwiązanie jolki nr 20: PRZEDSTAWIENIE HAMLETA WE WSI GŁUCHA DOLNA (tytuł sztuki Ivona Brešana).

Rzędami: postój, proces, eliksir, andrus, adwent, panicz, Borodino, ziarno, epitet, kręgosłup, klient, balsam, ignorant, magnes, suchar, comber, schodki, kokosz, Europa.
Kolumnami: plaster, bosak, bibelocik, turkot, reklama, jesiotr, marsz, pingwin, ekran, gekon, nonsens, pracz, ukrycie, dziupla, Ingmar, chevrolet, sitko, Stwórca.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 18 nagrody wylosowali: **Danuta Gościński, Wrocław; Maria Łukasiuk, Wojkowice; Cezary Szadkowski, Międzyrzecz; Kazimiera Wielgoś, Opole; Barbara Zerhan, Elbląg. Gratulujemy!**

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

Jadowit Piąty Skuteczny

Wyspa Trucieli nie była zwykłą wyspą. Owa niezwykłość brała się z pewnej biologicznej anomalii występującej wyłącznie na tym terenie.

Anomalia ta polegała na tym, że każdy, kto przebywał na wyspie i napił się tam trucizny, mógł przeżyć tylko wtedy, jeśli w ciągu godziny wypił porcję jeszcze mocniejszej trucizny. Jeśli nie wypił lub wypił słabszą – umierał. Oczywiście jest, że wszyscy mieszkańcy Wyspy Trucieli zawsze mieli przy sobie buteleczkę trucizny, i oczywiście, że każdy miał nadzieję, iż to jego trucizna jest najsilniejsza. Tym, niestety jakże często fałszywym, przekonaniom przeczyły liczne przypadki „tańca pigułka” – jak nazywano na Wyspie Trucieli śmiertelne konwulsje nieszczęśników, których trucizna okazała się słabsza.

Oczywiście również się wydaje, że najlepiej rozwiniętą nauką na wyspie była farmaceutyka, a w szczególności sztuka preparowania bezzapachowych i bezsmakowych trucizn. I nie budzi niczyjego zdumienia fakt, że na królewskim tronie zasiadali niezwykle uzdolnieni alchemicy i farmaceuci.

Kolejny władca Wyspy Trucieli Jadowit Piąty Skuteczny nie chciał zginąć tak jak jego poprzednicy z ręki (a w zasadzie ze szklancy) lepszego niż on twórcy trucizn. Szpiegdy Jadowita wyszukali dwóch najlepszych twórców trucizn: Trujaka i Kobrę (którzy, jak głosiła plotka, szykowali się do ob-

jęcia tronu). Przywieźli ich przed oblicze Jadowita, a ten rzekł: „Przez noc każdy z was, odizolowany od innych osób, przygotuje w moim laboratorium truciznę. Jutro rano obaj zostaniecie do mnie przyprowadzeni i odbędziecie trucielski pojedynek. Każdy z was wypije najpierw truciznę przeciwnika, a potem swoją. Jeden z was zginie, a ja będę miał truciznę, kto wie, czy nie silniejszą od mojej. Czy będzie silniejsza – to sobie sprawdzę później. Zwycięzca opuści naszą wyspę na zawsze”.

I Trujak, i Kobra wiedzieli, że z nich dwóch mocniejsza trucizna robi Kobra i że cokolwiek wymyśliłby Trujak, to trucizna Kobry będzie mocniejsza.

Trujak wymyślił plan, w którym najważniejszą rolę odgrywała czysta, nieskażona trucizna woda. Jeśli plan by się powiódł, wówczas Trujak przeżyłby pojedynek. Nie przewidział jednak, że Kobra przejrzy jego zamiary. A tak się stało. Kobra wiedział, że Trujak wie, iż bez podstępów, w zwykłym trucielskim pojedynku nie ma szans i że przygotowuje jakiś podstęp. Kobra domyślił się, jaki podstęp szykuje mu Trujak, i przygotował swój podstęp, który miał mu zapewnić przeżycie.

Trucielski pojedynek zakończył się zwycięstwem Kobry, który, zanim Jadowit odkrył jego podstęp, zdążył opuścić wyspę. Trujak zmarł, a Jadowit nie zdobył tego, co chciał dzięki pojedynkowi osiągnąć.

Jakie podstępów przygotowali Trujak i Kobra?

czerwiec
12
środa



DARIA

GDZIE JEST DARIA?
GDZIE JEST DARIA?



WOŁAM, KRZYCZĘ
JAK TEN WARIAT.
SZUKAM W DOMU,
SZUKAM W SKLEPIE...
NIE ZNALAZŁEM!

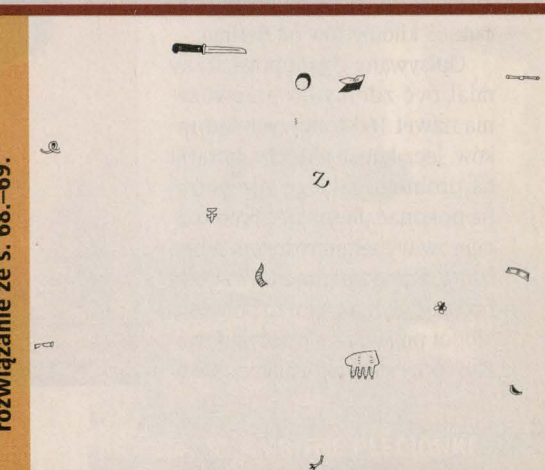


Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli **16 czerwca** (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy powieści **Carlosa Fuentes „Instynkt pięknej Inez”** (Świat Książki)

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem **Jolka 23** lub **Krzyżówka 23**.



WYTEŻ WZROK
rozwiązanie ze s. 68.-69.



Sterowiec, na który nas nie stać

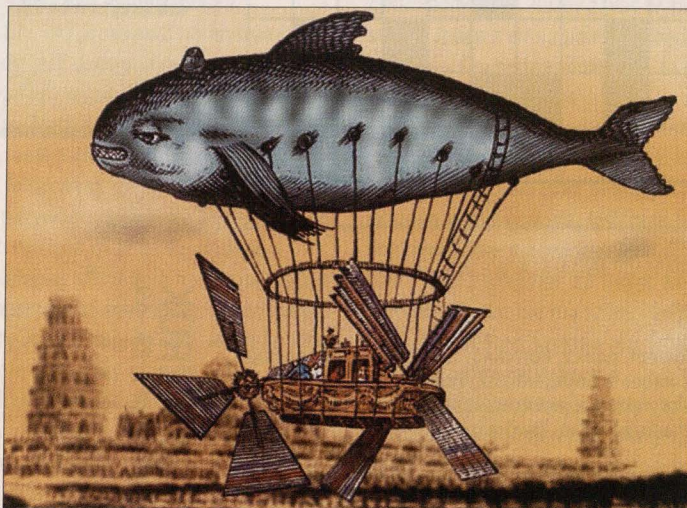
Gigantyczny zeppelin
będzie cudem techniki,
o ile uda się go zrobić

Towarzystwo akcyjne Cargo-lifter zapragnęło zrealizować śmiały projekt budowy największego statku powietrznego wszech czasów. Miał to być olbrzymi potomek zeppelinów: dłuższy aniżeli dwa stadiony piłki nożnej, napędzany zaś niepalnym gazem, jakim jest hel.

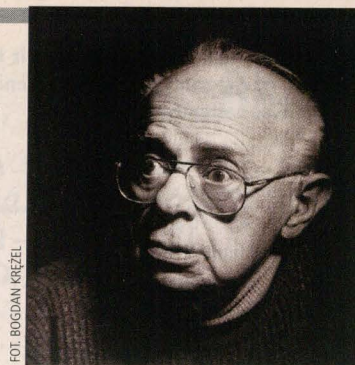
Tak potężny sterowiec byłby w stanie przewieźć stutonowy zespół urządzeń wiertniczych w arktyczną tundrę albo gigantyczną turbinę w okolice lasów Amazonii. Nazwano go „powietrznym dźwigiem” zdolnym podnieść więcej niż jakikolwiek helikopter i mogącym dotrzeć do miejsc, do jakich żaden samolot, okręt czy pociąg dostać się nie może. Już od pięciu lat bezskutecznie zмага się nazwana firma z tym projektem i włożyła weń ponad ćwierć miliarda dolarów. Obecnie prowadzi prace w gigantycznym hangarze na porzuconym przez Związek Radziecki lotnisku leżącym 65 kilometrów od Berlina.

Opisywany gigant powietrzny miał być zdolny do przewożenia nawet 160-tonowych ładunków, lecz konstruktorzy natrafili na problem, jakiego nie potrafili pokonać. Sterowiec tych rozmiarów wypełniony helem może istotnie podźwignąć olbrzymie brzemie, jednak bardzo poważny kłopot pojawia się po wylądowaniu – przy jego opróżnianiu. Kiedy

turbina czy wieża wiertnicza zostanie wylądowana, należy zapobiec sytuacji, w której balon – nagle wyswobodzony z wiezionego ciężaru – pomknąłby gwałtownie ku niebu. Zaprojektowano wprowadzić zbiorniki balastowe, które należało wypełniać odpowiednim zapasem wody, w miarę jak będzie postępował wylądunek. Takie rozwiązanie zakłada jednak, że na miejscu lądowania owa wielka ilość wody będzie na podorędziu i że będzie można ją łatwo i szybko przepompować. Tymczasem obliczenia wykazują, iż niezbędna jest bardzo subtelnie wyważona inżynieria dla ciągłego równoważenia siły nośnej, która rośnie przy malejącym obciążeniu powietrznego statku.



RYŚ: DMITRI SZEWIONKOW-KISIMIELOW



FOT. BOGDAN KRZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

Na razie firma jeszcze nie zrezygnowała ze swojej koncepcji. Zbudowano model znacznie pomniejszony w stosunku do oryginalnego sterowca, lecz próby wykazały, że taki powietrzny statek wraz z dźwigiem, który służy do ładowania i wylądowania ogromnego ciężaru, jest praktycznie niemożliwy do skonstruowania. Nie ma mowy o tym, żeby taki gigant wzbił się w powietrze prędzej aniżeli za trzy lata. Będzie trzeba jeszcze ponad 200 milionów dolarów dla pierwszego startu olbrzyma.

W tej chwili Cargolifter korzysta z dużego zainteresowania mediów, dzięki któremu udało się zgromadzić 60 milionów dolarów z tytułu emisji akcji. Sam hangar jest czymś w rodzaju marzenia fotografów. Również koncepcja unowocześnionego zeppelinu wydawała się początkowo bardzo prosta i przemawiała do publiczności.

Nie wiadomo jednak, czym zakończy się ów projekt, gdyż obecnie zagraża mu po prostu bankructwo. Jeśli jednak nie będzie nawet żadnej szansy na powstanie superzeppelinu, to

pojawiła się zupełnie inna, jakkolwiek skromniejsza, możliwość uratowania tego przedsięwzięcia: sterowiec pełniący rolę wideokowej platformy dla turystów. Do tej chwili już ponad 300 tysięcy osób zapłaciło po 10 euro za bilet. Tak zatem nie wszystko jeszcze jest stracone, aczkolwiek niemiecki sen o nowej epoce ciężarowych lotów sterowanym balonem lżejszym od powietrza jest poważnie zagrożony.

Jeżeli dojdzie do bankructwa Cargolifter, okaże się ono bardzo bolesne dla wielu nabywców jego akcji, ponieważ dzięki intensywnej kampanii reklamowej kurs walorów tego konsorcjum podniósł się niemal dwukrotnie. Ten wzrost może być jednak chwilowy, jako że całe przedsięwzięcie toczy się w surowych warunkach kapitalizmu, w których nie ma mowy o tym, ażeby można było liczyć na wielką subwencję ze strony skarbu państwa.

Na marginesie tej afery warto dodać, że w gospodarce rynkowej, której zasad wciąż jeszcze nie udało się w Polsce wdrożyć, niemożliwa jest tak zwana denacjonalizacja, czyli przejęcie deficytowego przedsiębiorstwa przez państwo, co oznacza po prostu przeniesienie ciężaru jego zadłużenia na barki wszystkich obywateli. Z zestawienia tego wynika przede wszystkim taki wniosek, że jest nam dość daleko do „prawdziwego kapitalizmu”, w którym obowiązują okrutne prawa rynku, i dlatego nikt nie może liczyć na rządowe wsparcie finansowe oznaczające ratowanie miejsc pracy kosztem całego społeczeństwa.

STANISŁAW LEM
27 maja 2002

nowy numer już w sprzedaży

DOM & WNETRZE

R 6(81)/2002 CZERWIEC CENA 7,90 zł (w tym 7% VAT)

SŁONECZNE WNĘTRZA
NOWOCZESNEGO DOMU
tu liczy się pomysł
i szlachetny materiał

WSZYSTKO NA
SWOIM MIEJSCU
jak wyposażyć szafę
i urządzić garderobę
-porady projektanta

WISZĄCE OGRODY
CZYLI WIOSNA
NA BALKONIE
trzy praktyczne
rozwiązania

TEMAT NUMERU
DOMY
LETNIE

• na wiekiej łące
• blisko plaży
• w wiejskiej
chałupie

5/20
100
WZORÓW MEBLI
PRZEGLĄD OFERTY RYNKOWEJ
fotele
kanapy
krzesła
stoliki
stoły

DODATEK SPECJALNY!

PODRĘCZNY KATALOG MEBLI.
BOGATA OFERTA RYNKOWA,
NAJCIEKAWSZE WZORY,
MODNE PROPOZYCJE.

TEMAT NUMERU: DOMY LETNIE

DOM: Z HOLENDERSKIM AKCENTEM

INSPIRACJE: KOCHAMY KWIATKI

ARANŻACJE: AMBITNE PLECIONKI



Rys. Karina Piatowska

PRZEMYSŁAW BORKOWSKI

Po co to komu?

W dalekim Zimbabwe, mieście Harare, prezydent Mugabe tak stwierdził: wcale mnie nie obchodzi ta demokracja! Młta jest - racja. Lecz oświście, coż mi to da? Wybiierać możecie, kogo tylko chcecie, byłbym tylko był to ja.

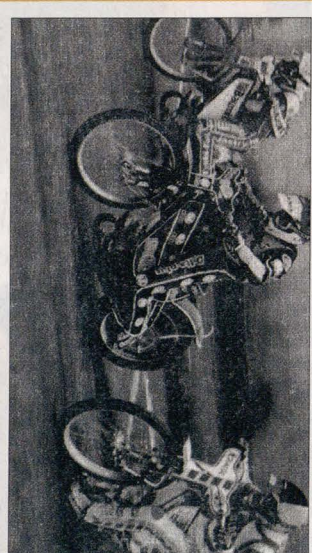
Trudno odmówić pewnej legki prezydentowi Mugabe. Dzięki jest kraj Zimbabwe i pełen zwały. Prawie jak Polska (choć bez przesyady). Dać demokrację takim Murzynom? Będzie to samo co u nas. Miną jakiś dwa latka, a może trzy, całe Zimbabwe zjedzie na psy.

Zaraz się różni macherzy znajdują, co krzyżować zaczął: za apartheidu tu było lepiej! I wkrótce już blokować zaczął ścieżki przez busz.

Potem narodził się liga rodzin w jakiejs wioseczce małej na wschodzie, blokować będzie przez długie lata wyjście Zimbabwe z Trzeciego Świata.

Po co to komu, panie Mugabe? Kłopot ogromny, interes żaden. Lepsza policja, kji i represse. Przynajmniej będzie spokój tu wreszcie.

GRAJ W ZIELONE



Rafal Okonowski (długi z prawej, w zielonym stroju) wczoraj rozpoczął wyścig od trzech zwycięstw, ale w następnych dwóch wysiłkach było już gorzej.

Jak to mówili kiedyś w telewizorze, „szkoda, że Państwo tego nie widzą (w kolorze)” (Zdjęcie z „Głosu Wielkopolskiego” z 22 kwietnia nadesłał Bernard Falkowski z Międzybuzia)

SŁOWNIKOWA EKWILIBRYSTKA

Tygodnik „Teletydzien” w tekście zatytułowanym „Ekwilibrystyka promili” instruuje, jakiego drinka należy przygotować, by pozbyć się kaca. Autor kończy przepis zdaniem:

„Składniki mieszaniny i wypijany jednym łałtem”.
Oj, żeby tylko się nie zakrzusć...

(Nadesłała Maria Bielowska z Warszawy)



Kobieta wpietw zaspokoici ciekawość niż głód.

Mężczyzna każdą swoją cechę pisze dużą literą.

SŁUP WODY

„Dziennik Łódzki” z 15 maja zamieszcza dramatyczną notkę: „Ulewny deszcz sparaliżował wczoraj Łódź. W ciągu półtorojej godziny spadło ponad 36 litrów na centymetr kwadratowy”.

Z naszych skromnych obliczeń wynika, iż poziom wody osiągnął... 360 metrów. Dobrze przynajmniej, że mieszkańcy mieli łódź, choćby w nazwie.
(Nadesłał N.N. z Łodzi)

Z GŁOWY...

Kiedy widzowie zbyt często otwierają usta ze zdumienia, zaczynają ziewać.

...KRZYSZTOFA BILICY

HUMOR ZESZYTOW SZKOLNYCH

Miecz koronacyjny polskich królów nazywał się Szczerbulec.

Komunizm polega na tym, że nie ma w nim prywatności.

Większość ludzkich odpadów trafia do mórz.

O sile Herkulesa świadczy jego maczuga w Ojcowie.

Mistrzostwa szkół średnich w sportach siłowych - skłony na przyrządzie do mięśni prostych brzucha nauczycielek [napis na medalu].

Jeden z królów selekcyjnych uciekł z Polski do Francji.

Kochanowski stara się uderzyć w największe miejsce szlachcica.

KINOTEATRZYK

P. JURKA

„Traffic”

Występują:
CZTERY WĄTKI
NARKOTYKI
PRZESŁANIE
CHÓR KRYTYKOW

CZTERY WĄTKI:
(a każdy w innym kolorze!)

NARKOTYKI:
(są głównym bohaterem każdego wątku)
PRZESŁANIE:
(na wielkiej planszy, drukowanymi literami)
NARKOTYKI SĄ ZŁE!
CHÓR KRYTYKOW:
(młodzi wstrząśnięty)

THE END/KURTYNA

HE!

Nie myślcie tak często o starzeniu się. To postarza.